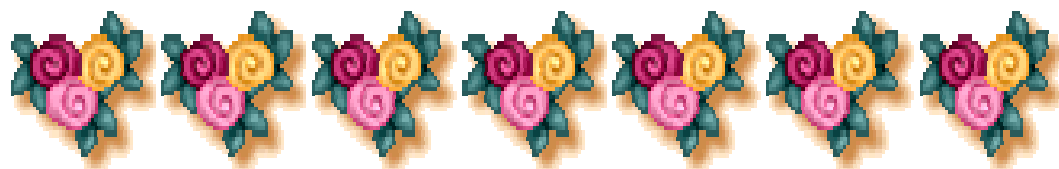




NORA CADE



**RANCHO
NA
DZIKIM ZACHODZIE**

Rozdział 1

Żarzące się czerwienią słońce tonęło za ostrymi szczytami potężnego masywu górskiego. Czerwonozłota poświata po raz ostatni odbiła się w wychodzących na zachód oknach rozłożystego budynku o białych ścianach. Zaraz potem ciemności zaległy nad doliną.

Steve Felton stał w swojej łazience wyłożonej piaskowymi kafelkami i energicznie wycierał swe kruczoczarne włosy. Wyszedł właśnie spod prysznic i cały ociekał wodą. Mokry ręcznik przewiesił przez górną framugę kabiny i przeszedł do sypialni graniczącej z łazienką. Zatopiony w myślach zatrzymał się pośrodku pokoju. Stało w nim wielkie szerokie łóżko z jasnego sosnowego drewna, przykryte ręcznie tkaną indiańską kapą w intensywnej niebiesko-zielonej tonacji.

Naprzeciw łóżka znajdował się kominek wmurowany w ścianę. Obok niego stał masywny stół z tego samego jasnego drewna co łóżko i ciężki fotel obity zamsem. Wyposażenie pokoju uzupełniała sporych rozmiarów komoda stojąca przy drzwiach do łazienki. Przesuwane szklane drzwi prowadziły na werandę ciągnącą się wzdłuż całej zachodniej ściany budynku.

Steve spojrzał na góry rysujące się ostrą linią na horyzoncie. Zanucił starą piosenkę, którą znał jeszcze z dzieciństwa. Przed chwilą zadzwonił Chuck i zapowiedział się na jutro. Wpadnę w ciągu dnia, ale-nie rób sobie żadnych kłopotów. Do zobaczenia jutro. Steve ubrał się powoli. Jeszcze dźwięczał mu w uszach głos młodszego brata. Chuck - jakże za nim tęsknił, brakowało mu tego niefrasobliwego chłopaka, którego wdziękowi nikt nie mógł się oprzeć.

Jutro zasiądą przed kominkiem, Chuck opowie o swoich najnowszych przygodach na rodeo i o swym życiu w San Francisco. Steve będzie się tylko uśmiechał pod wąsem, ale z zainteresowaniem będzie chłonał każde słowo brata.

Zaciągnął ciężkie zasłony z ciemnobrązowego lnu, po czym otworzył jedną z szuflad komody, w której spodziewał się znaleźć chusteczkę do nosa. Nagle palce jego natrafiły na gładką chłodną powierzchnię. Wyjął zdjęcie oprawione w złote ramki i przyjrzał mu się po raz kolejny. Jego usta skrzywiły się w pogardliwym uśmiechu, a oczy zwęziły się w dwie małe szparki.

- Twoja na zawsze Ewa - przeczytał półgłosem dedykację napisaną ukośnie na zdjęciu, przedstawiającym atrakcyjną długowłosą blondynkę. Roześmiał się z goryczą. - Twoja wieczność trwała cholernie krótko, ty fałszywa żmijo!

Wyjął fotografię z ramek, podarł ją metodycznie na strzępy i rzucił w ogień. - Niech cię ogień pochłonie, ty kurwiszonie! - mruknął. - Jeśli zaś

kiedyś wejdzie mi w drogę szatan w postaci anioła, takie uwodzicielskie stworzenie jak ty - o niewinnym wejrzeniu wielkich ciemnobłękitnych oczu, o kuszących różowych wargach i o jedwabistych, połyskliwych włosach... odetchnął głęboko - ... będę się miał przed nim na baczności i traktował jak czarownicę, która chce rzucić na mnie zły urok!

Chuck nie jechał swą małą półciężarówką sam. Obok niego siedziała Jenny Vandeen, zapatrzona teraz w przepiękny dziki krajobraz. Jej połyskujące srebrem jasne włosy powiewały na wietrze, a niebieskie oczy o rzadkim odcieniu kobaltu błyszczały z zachwytu nad tą niezwykłą w swej urodzie przyrodą.

Trzy dni temu wyruszyli z San Francisco, przebyli lesiste Góry Skaliste, wspięli się na wyżyny Sierra Nevada w Kalifornii, przebyli piaszczyste pustynie, zostawili za sobą słone pustkowia w Utah, aż wreszcie dotarli do kanionu Snake Fiver w Wyoming.

- Stąd mamy już niedaleko do naszego rancho. - Chuck zsunął na tył głowy swój ulubiony kapelusz - stetsona. - Cywilizowany świat został w Jackson. Tu zaczyna się już „Dziki Zachód”, Jenny.

Roześmiał się wesołym dźwięcznym śmiechem i zaryczał na całe gardło refren piosenki w stylu country, która właśnie leciała w radiu.

Jenny spojrzała na niego rozbawiona. Lubiała Chucka. Traktowała go jak brata, jak starszego brata-opiekuna, za którym tęskniła przez całe dzieciństwo.

Chuck uśmiechnął się do niej. - Wyglądasz na bardzo szczęśliwą, Jenny - stwierdził z widocznym zadowoleniem.

Dziewczyna zarumieniła się. Zakłopotana umknęła wzrokiem w bok.

- Ja... właśnie pomyślałam sobie, że dobrze mieć przyjaciela. Urlop na rancho pośrodku Dzikiego Zachodu to dla mnie jak główna wygrana na loterii. Spełniłeś moje marzenie, Chuck. Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie przesadzaj, Jenny. - Chuck skrzywił się pociesznie. - Nie zapominaj, że ty też nam wyświadczasz przysługę. Każdy gość jest sporym urozmaiceniem w tej naszej samotni. Wierz mi.

Jenny westchnęła. - I pomyśleć, że niewiele brakowało, żebyśmy się w ogóle nie poznali. Miałam ochotę wziąć nogi za pas, gdy spytałeś przeciągając tak dziwnie wyrazy: Czy mogłaby mi paniusia powiedzieć, gdzie tu jest miejsce dla samotnego kowboja? Miejsce na worek z obrokiem.

- Poznalibyśmy się, poznali, nie ma strachu. Miałem już lasso w rękę, mała. Nie wywinie mi się żaden źrebak, żeby nie wiem jak narowisty. - Chuck poklepał Jenny po ramieniu.

- Szczęśliwie trafiłeś na miłośniczkę Zachodu. Znam kilka waszych wyrażeń. Naprawdę myślałeś, że ktoś cię we Frisco zrozumie? Koczowałbyś pewnie na ulicy i w końcu umarł z głodu. A teraz serio - dlaczego zwróciłeś się akurat do mnie, Chuck?

- Bo stałaś tam taka zagubiona jak piesek, który zabłądził i rozpaczliwie wypatruje swego pana.

- Dziwne. Tak właśnie się czułam, tylko że nie zainteresowało to nikogo oprócz ciebie.

- Ach, ci miastowi - Chuck machnął pogardliwie ręką. - Przyciąga ich tandeta, tani blichtr, a nie dostrzegają klejnotów.

- O, rany, przestań, Chuck!

- Okay, madam. - Zerknął na nią z ukosa i uśmiechnął się. - Może bardziej spodoba ci się to porównanie. Słuchaj: jesteś małym kucykiem, naturalnym, świeżym i żywym, różniącym się bardzo od wysztafirowanych, wytresowanych koni cyrkowych, których jest w mieście pełno.

Rozkręcił radio na cały regulator i przyłączył się do kolejnej piosenki.

Jenny zaczęła znowu wyglądać przez okno, uznając rozmowę za zakończoną. Ciemnozielone igliwie starych sosen wspaniale kontrastowało ze smukłymi, białoszarymi pniami osik i ich jasnymi żółtozielonymi liśćmi.

Przypomniało jej się dzieciństwo, spędzone pod opieką ciotki Ady. Ciotka stale przestrzegała ją przed podstępными i podłymi mężczyznami i stale pilnowała, żeby nic w wyglądzie Jenny, w jej fryzurze czy zachowaniu nie przyciągało lubieżnych spojrzeń tych zepsutych kreatur. Przez high-school przemknęła się jak szara myszka, ubierana zawsze w drugie sukienki o nieokreślonym kolorze i fasonie. Przez wszystkie te lata nie zdarzyło się, żeby jakiś chłopak obejrzał się za nią.

Potem ukończyła pomaturalną szkołę dla sekretarek, z której trafiła prosto do agencji ubezpieczeniowej. Była to jej pierwsza i jak na razie ostatnia praca.

Przez ostatnie trzy lata z poświęceniem pielęgnowała ciężko chorą ciotkę, którą śmierć wybawiła od cierpień kilka miesięcy temu. Od tamtej pory Jenny mieszkała sama w wynajętym razem z umeblowaniem mieszkaniu. Mogła teraz nadrobić to, czego nigdy nie było jej dane zaznać. Nie umiała jednak wypaść z raz obranego toru. Wychowanie ciotki Ady ukształtowało ją tak bardzo, że przyjęła jej poglądy za swoje.

A potem nagle Chuck wtargnął w jej życie. Był jak ożywcza wiosenna burza, jak rycerz w kowbojskim kapeluszu, który się pojawił, żeby ją uratować. Po raz pierwszy zainteresował się nią jakiś mężczyzna. Jenny sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Bardzo powoli, stopniowo pozbyła się

bojaźliwości, zdała sobie sprawę z własnej wartości, zaczęła żyć innym życiem, próbować rzeczy, których nigdy nie próbowała, cieszyć się śpiewem ptaków w parku i zapachem żonkili, jej ulubionych kwiatów. Przedtem wcale na nie nie zwracała uwagi. Wewnętrzna przemiana odbiła się na powierzchowności dziewczyny. Miała w sobie dużo wdzięku, który dopiero teraz w pełni się ujawnił. Wszystko to zawdzięczała Chuckowi, miłemu, prostemu, niezepsutemu chłopakowi z Zachodu, który pewnie nawet nie wiedział, że krok po kroku wyzwolił ją z niewidocznych kajdanów, pokazując, że istnieje jeszcze inne życie.

- Popatrz tam, w lewo! To rezerwaty łosi! - zdenerwowany głos Chucka wyrwał ją z zamyślenia.

Jenny odgarnęła pasmo jasnych włosów z twarzy. Zmarszczyła czoło usiłując dostrzec coś w leśnej gęstwinie. - Ja tam nie widzę żadnych łosi.

Chuck uśmiechnął się łobuzersko. - Ja też nie, Jenny. Latem cofają się w głąb lasów. Natomiast w zimie zbierają się tu w liczbie ośmiu, czasem nawet dziewięciu tysięcy. Po prawej widać już Tenton, te góry, o których ci mówiłem.

Jenny spojrzała we wskazanym kierunku. Wspaniała zielona dolina, którą biegła droga, rozszerzała się dalej. Zbocza jej porastały sosny o prostych pniach i rozłożystych szmaragdowozielonych koronach. Nad wierzchołkami sosen pięły się w niebo niebieskoszare kanciaste szczyty. Jenny wstrzymała oddech. W milczeniu podziwiała wspaniały widok. Mowę odzyskała dopiero po dłuższej chwili.

- Twoje strony są niewiarygodnie piękne - powiedziała uroczyście.

- Czy naprawdę nie sprawię wam kłopotu swym przyjazdem na rancho?

- No, coś ty! Steve rzuci się zaraz na ciebie jak niedźwiedź, który zwietrzył miód. - Roześmiał się zaraz z przestraszonej miny Jenny.

- Nie bój się, mała, mój brat nie jest takim wariatem jak ja. Steve to odpowiedzialny facet, mądry, o doskonałych manierach, słowem - ideał mężczyzny.

- Opowiedz mi o nim.

- Steve wychował mnie. Nie byłem zaplanowanym potomstwem. Mama była już dobrze po czterdziestce, kiedy mnie urodziła. Umarła zaraz potem. Tata nie miał dla mnie czasu. Od świtu do nocy harował na rancho. Potem zdarzyło się nieszczęście przy ujeżdżaniu jednoroczników. Zrzucił go z siebie pewien pełen temperamentu ogier. Tata odniósł tak poważne obrażenia, że niebawem w ich wyniku umarł. Steve zastąpił mi matkę i ojca. Sam ponosił odpowiedzialność za rancho. - Chuck pokręcił głową. - Do dziś nie wiem, jak

sobie poradził z takim ogromem zadań. Miał wtedy przecież zaledwie dwadzieścia lat.

Biedny Steve, nie dano mu czasu na stopniowe dojrzewanie. Z dnia na dzień musiał stać się dorosły. - Chuck spojrział z namysłem w dal. - Pewnie dlatego stale jest taki poważny. Odpowiedzialność to naprawdę ciężka sprawa. Jenny skinęła głową. - Jest od ciebie wobec tego sporo starszy?

- Tak, czasami wydaje mi się wręcz prastary. Prastary i bardzo, bardzo mądry.

Jenny wyobraziła sobie brata Chucka jako dobrodusznego ojczulka w spłowiałych dzinsach, o skórze wygarbowanej słońcem i wiatrem, o pobrużdżonych dłoniach i spokojnym spojrzeniu, w którym kryły się dojrzałość i doświadczenie życiowe. - Czy nigdy nie chciał się ożenić?

Chuck wzruszył ramionami. - Nie wiem dokładnie. Właściwie nie skarżył się na brak przyjaciółek, ale zawsze były to krótkie, niezobowiązujące znajomości. Jeden jedyny raz zdarzyła mu się poważniejsza historia, która nieomal wysadziła go z siodła. Zostawiła go.

- A to wredna baba! Szkoda mi twojego brata. Mam wrażenie, że jest z niego cudowny facet.

- Bo jest. A jak się przedstawiają twoje związki rodzinne, Jenny? Nie miałaś żadnych krewnych oprócz ciotki?

- Nie - potrząsnęła głową przecząco. - Urodziłam się w Indiach, gdzie moi rodzice przebywali jako misjonarze. Kiedy miałam pięć lat, odesłali mnie do Stanów, do ciotki Ady. Ona była siostrą taty. Miałam pozostać u niej do czasu zakończenia epidemii cholery, która zapanowała w wielu częściach Indii. Mnie udało się uciec przed tą straszną chorobą, ale moim rodzicom już nie. Zostałam w Stanach u ciotki Ady, która zajęła się moim wychowaniem.

- Co z tego wyszło, widać na załączonym obrazku.

Jenny skrzywiła się niedostrzegalnie. Miała jeszcze świeżo w pamięci wszystkie reguły i nakazy, do których musiała się stosować, te ściągnięte usta ciotki, kiedy czytała wersety z Biblii rano, w południe i na wieczór, te przeraźliwe przestrogi przed mężczyznami i ich brudnymi zamiarami. Zawsze powtarzała, że porządna dziewczyna nie powinna szlajać się z chłopami. - Postępowała zgodnie ze swym sumieniem - powiedziała spokojnie.

Chuck westchnął. - San Francisco to piękne miasto. Tam to się dopiero żyje!

Jenny zawahała się. - Hmm, pewnie masz rację... Miasto jest rzeczywiście piękne, ale ja... nie umiem się w nim odnaleźć. Czuję się we Frisco obco. Nie mam przyjaciół, a sama nie lubię korzystać z rozrywek.

- Mogłabyś zamieszkać gdzie indziej?

- O, tak - powiedziała Jenny z pełnym przekonaniem. - Wydaje mi się, że tu, na Zachodzie, czułabym się jak u siebie w domu.

- Dlaczego akurat na Zachodzie?

- Wyśmiejesz mnie, ale dobrze, powiem ci. Od lat zbieram po wszystkich księgarniach i bibliotekach westerny. Mam już całkiem pokaźny księgozbiór, do którego stale sięgam.

- Wielbicielka westernów, patrzcie państwo! Uważasz nas, mężczyzn, za bohaterów? Obyś nie doznała rozczarowania w zetknięciu z rzeczywistością!

- Tym się nie kłopotz! Ciotka Ada przez całe lata uczyła mnie, że sny nigdy nie stają się rzeczywistością. Nie, Chuck, lubię bohaterów westernu nie tylko za ich odwagę i rycerską postawę. Najbardziej podoba mi się w nich to niczym nieograniczone poczucie wolności i niezależność.

- Z tą nieograniczoną wolnością przesadziłaś jednak, Jenny. Właściciel ziemi i bydła jest siłą rzeczy przywiązany do gruntu. Czasy, w których kowboje przemierzali ogromne przestrzenie chowając swój dobytek do dwóch kuferków przytroczonych do siodła, dawno już minęły. Jakies tam poczucie swobody pozostało wszakże. Zapewniają je nam konie, bez których nie można się obejść, i wielkie pastwiska. Pod tym względem miałaś rację, mała.

Jenny kiwnęła głową i uśmiechnęła się promiennie. „Jenny” - jak to ślicznie brzmi. Przez te wszystkie lata, od kiedy wróciła z Indii do Ameryki, nikt jej tak nie nazywał. Wszyscy używali pełnej formy jej imienia „Jennifer”. Nowy-stary skrót bardziej pasował do jej odmienionej osobowości.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Chuck szczerząc zęby w uśmiechu. Przejeżdżali właśnie przez drewnianą bramę, nad którą widniał napis Rancho Feltonów.

W oddali, u stóp łańcucha wzgórz, białe płaskie budynki wyglądające na jakąś osadę. Trochę dalej, na platformie skalnej, stał rozłożysty budynek mieszkalny.

- Czy to właśnie jest wasze małe rancho? - spytała osłupiała.

- Aha - spokojnie odparł Chuck.

- Chuck, ile tu jest hektarów? - chciała wiedzieć Jenny.

- Razem do kupy zebrałoby się parę tysięcy - odpowiedział pytany z niewinną miną.

- Parę... parę tysięcy hektarów - wyjąkała oszołomiona dziewczyna. Co będzie, jeśli Chuck miał więcej takich niespodzianek w zanadrzu? Spojrzała po sobie i zaraz pomyślała, że może w wytartych dżinsach i zwyczajnym podkoszulku nie będzie pasować do tej posiadłości.

Chuck tymczasem zatrzymał samochód przed największą stajnią.

- Jak leci, stary kojocie? - zawołał do krępego mężczyzny średniego wzrostu. - Akcje zwyżkują?

- Niech mnie szlag trafi, jeśli to nie jest głos naszego chłoptasia! - brzmiała uprzejma odpowiedź.

Jenny odetchnęła z ulgą. Przynajmniej brat Chucka wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała. Wskoczyła z samochodu i podbiegła do mężczyzn, którzy już się witali rubasznym klepieniem w ramię.

- No, no, nie zapomniłeś, jak widzę, drogi do domu, braciszku - odezwał się nagle za jej plecami niski męski głos. - Jak było w mieście? Miałeś pewnie dużo roboty, więcej niż my tu mamy przy wypasaniu bydła, co?

- Jeszcze ile, brachu! Musiałbyś ich zobaczyć, tych turystów w lśniących kowbojskich butach i sztywnych kowbojskich kapeluszach. Zmykali, gdzie pieprz rośnie, kiedy cwałowałem po ulicach.

Jenny odwróciła się wzburzona. Oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia. Stał przed nią mężczyzna, jakby żywcem wyjęty z westernu. Przystojny, muskularny, bardzo męski. Więc to był „stary” Steve! Tak go Chuck nazywał w żartach. Zaparło jej dech w piersiach z wrażenia.

- Chuck... - szepnęła ledwie słyszalnie.

Oho? - Steve zauważył ją dopiero teraz. Zaskoczony obejrzał ją od stóp do głów.

Oględziny nie wypadły chyba zadowalająco, ponieważ twarz mężczyzny zmieniła się w sposób przerażający. Ciemne oczy, przed chwilą jeszcze pełne ciepła, spoglądały na nią odpychająco, a nawet wrogo. Uśmiech znikł z warg, które zwężyły się w cienką linijkę.

- Spójrz tylko, kogo przywiozłem z San Francisco, Steve! - Chuck, który nie zauważył przemiany brata, złapał Jenny pod ramię i żądny pochwały zrobił wyczekującą minę.

Jenny z pewnym wahaniem wyciągnęła dłoń. Serce jej zabiło trwożliwie. Ten mężczyzna patrzył na nią tak nienawistnie... Ale dlaczego? Nie znał jej przecież nawet, widzieli się po raz pierwszy w życiu.

- Kto to jest? - Steve nie krył irytacji.

Chuck przestał się wreszcie uśmiechać. - Steve, Chciałbym ci przedstawić Jenny Vandeen. Jenny spędzi u nas wakacje. Zaprosiłem ją... - bezradnie opuścił ramiona.

- Jenny Vandeen - Steve powtórzył personalia dziewczyny w taki sposób, jakby to było najgorsze przekleństwo.

Ona zaś patrzyła zdezorientowana to na jednego, to na drugiego. Zupełnie nie rozumiała reakcji starszego Feltona.

- Okay, zaprowadź ją do domu. Luiza zajmie się nią, a ty wróć do stajni. Roboty jest pod dostatkiem. - Chuck drgnął, zraniony do żywego słowami brata, który odkręcił się na pięcie i poszedł w swoją stronę.

Chuck patrzył w ślad za nim wielce wzburzony. Twarz mu poczerwieniała, usta same się otworzyły ze zdumienia.

W oczach Jenny pojawiły się łzy. Nikt jej jeszcze tak nie upokorzył jak ten kowboj. Miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

- Jenny - Chuck poszukał jej ręki. - Nie wiem, co mu się stało. Nigdy się tak nie zachowywał. Bardzo mi przykro, mała.

- Chuck... - Jenny odetchnęła głębiej. Dumnie podniosła głowę... Steve Felton nie miał prawa tak jej traktować. Nie będzie tolerować takiego grubiaństwa. Oburzenie i gniew wzięły górę nad bezradnym rozczarowaniem.

- Chuck, chciałabym wynająć pokój w motelu.

- Zrobiło się nieprzyjemnie, Jenny, ale nie ma w tym cienia twojej winy. - Chuck patrzył na nią wzrokiem zranionego zwierzęcia. - Obiecuję, że jutro z samego rana odwiozę cię do Jackson, ale dzisiaj przenocuj tutaj. O tej porze będą kłopoty ze znalezieniem wolnego miejsca do spania.

Jenny nie miała innego wyjścia, jak pogodzić się z losem i zostać na rancho. Bardzo jej to było nie w smak, gdyż spotkanie ze Stevenem było nader nieprzyjemne, ale co miała robić? Zacisnęła zęby i powiedziała, że się zgadza. W milczeniu wsiadła do samochodu i pojechali drogą pnącą się pod górę do domu.

Dolinę spowiły już wieczorne cienie, ale ponad szczytami gór słońce barwiło jeszcze obłoki na sympatyczny różowy kolor. Jenny westchnęła cichutko. Tu oto był jej wymarzony kraj, tu mogłaby być szczęśliwa.

Chuck wypakował bagaże dziewczyny i wyniósł je na werandę. Poszła za nim potulnie.

- Proszę - popchnął nogą jedno skrzydło podwójnych dębowych drzwi ozdobionych bogatymi rzeźbieniami. Jenny weszła do środka. Zdziwił ją gustowny rustykalny wystrój wnętrza. A więc był tam przede wszystkim kominek, urządzenie zupełnie nieodzowne w westernach. Ogień na kominku sprawiał zawsze takie ciepłe wrażenie... Wokół kominka stały wyglądające na wygodne skórzane fotele i niski szeroki stolik. Na świeżo wywoskowanej podłodze leżały ręcznie tkane indiańskie dywaniki. W pokoju stało również kilka lamp, dających przyjemne oświetlenie spod lnianych abażurów. W drugim końcu pokoju ustawiono masywny stół jadalny z kompletem

pasujących do niego krzesel i kredensem, zza szyb którego wyzierała kolorowa ceramika.

Jenny uśmiechnęła się do siebie. I w tym oto zadbanym, wypielegnowanym domu chciała sprzątać i gotować w rewanżu za udzieloną jej gościnę. Inaczej sobie wyobrażała „małe, stare rancho”.

Jakieś drzwi otworzyły się. - Chuck?

- Luizy, staruszek! Jestem! - Chuck podbiegł do niskiej siwowłosej kobiety, chwycił ją w ramiona i podniósł do góry.

- Najwyższa pora, młody człowieku! Stęskniliśmy się już za tobą! - Uśmiech starej Luizy mógłby stopić okazałą bryłę lodu. - Baliśmy się już, że nic cię już z nami, prowincjuszami, nie łączy. Ale co ja tam będę gadać po próżnicy, jak ty pewnie umierasz z głodu.

- No, pewnie! Znasz mnie przecież, Luizy. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Poczekaj chwilę. Zanim wycofasz się do swych czarów nad kuchnią, chcę ci przedstawić naszego gościa.

Wrócił po Jenny i razem podeszli do Luizy.

- Jenny, to jest nasza ukochana Luizy, która praktycznie rządzi tym domem.

Jenny wyciągnęła rękę do starszej kobiety, uśmiechając się miło. - Miło mi panią poznać, Luizy. Nazywam się Jenny. Jenny Vandeen. Dzień dobry.

Luizy patrzyła na nią osłupiała, jakby zobaczyła diabła.

- Czy Steve już ją widział? - wykrztusiła.

- Oczywiście. - Uśmiech zamarł na ustach Chucka. - Może przywitasz się z Jenny?

- Dobry wieczór pani. - Luizy potrząsnęła energicznie szczupłą dłonią Jenny. - Przepraszam, ale mam robotę w kuchni.

- W którym pokoju umieścimy Jenny? - zawołał Chuck za oddalającą się kobietą.

- Wszystkie pokoje gościnne są wysprzątane, wiesz przecież. Wszystko jedno, w którym. Wybierz, który chcesz. - Trzasnęła drzwiami i już jej nie było.

Chuck zmarszczył czoło. - Co tu jest grane? Oszałeli wszyscy czy co?

Wziął bagaże dziewczyny i zaprowadził ją do dużego pokoju w prawym skrzydle budynku. - Myślę, że ci się spodoba. Jest tu łazienka i toaleta, tylko do twojego użytku, o tam, za tymi drzwiami. Zostawię cię teraz samą, bo pewnie chcesz się odświeżyć po długiej podróży. Kolacja jest punktualnie o szóstej.

- Chwileczkę, Chuck.

- Tak? - odwrócił się w drzwiach.

- Może byś mi wytłumaczył, dlaczego wszyscy na rancho tak źle mnie traktują, jakbym miała wysypkę.

- Żebyś to ja wiedział! - westchnął. - Głupio mi i wstyd za nich, ale wierz mi, że nie mam pojęcia, co się stało. Pierwszy raz zdarzyło się, że przywiozłem do domu dziewczynę. Może to ich tak wzburzyło? Może są w szoku? Tak, pewnie o to chodzi. Pogadam z nimi i myślę, że przy kolacji będą się już zachowywać poprawnie. - Uśmiechnął się do Jenny wesoło i wyszedł.

Jenny rzuciła się na szerokie i wygodne łóżko. Steve rzucił się na ciebie jak niedźwiedź, który zwietrzył miód. Słowa Chucka dźwięczały w jej uszach jak gorzkie szyderstwo. Starszy brat przyjaciela potraktował ją raczej jak rój pszczoł, niebezpiecznych i kaśliwych.

Westchnęła smutno i podniosła się, żeby zasłonić kotary. Wyjęła z walizki kosmetyczkę i poszła do łazienki, utrzymanej w biało-turkusowej tonacji. Były to jej ulubione kolory, ale wcale jej to nie ucieszyło. Była zniechęcona niesympatycznym przyjęciem i z obawą myślała, że przy kolacji będzie musiała usiąść przy jednym stole ze Stevenem.

Jenny odkręciła kurki z wodą, żeby sobie przygotować kąpiel. Pokręciła głową rozgoryczona. Braterska miłość też widać może być ślepa. Chuck opowiadał jej o bracie w samych superlatywach, w rzeczywistości zaś brat ten okazał się nieokrzesanym gburem, zupełnie nie przystającym do opisu Chucka.

Rozebrała się i zanurzyła w gorącej wodzie. Zawsze uważała, że na wszelkie strapienia najlepsza jest gorąca kąpiel. Tego też pewnie nauczyła się od ciotki.

Zamknęła oczy i odprężyła się. Ten Steve patrzył na nią takim wzrokiem, jakby chciał ją wyrzucić ze swego domu. Ale dlaczego? Czyżby powodowała nim zazdrość o brata? Bał się, że straci go za jej sprawą?

Umyła się dokładnie szorstką rękawicą, wyszła z wanny, wytarła dużym włochatym ręcznikiem do sucha i wróciła do pokoju. Do kolacji była jeszcze cała godzina. Poleży sobie troszeczkę i odpocznie...

Rozdział 2

- Jenny! Halo! Kolacja gotowa!

Jenny otworzyła oczy przestraszona. Nie wiedziała, gdzie jest i co tu robi. W ciemnościach trudno jej było zorientować się w topografii nieznanego miejsca. Po omacku odnalazła wyłącznik światła.

- Jenny, słyszysz mnie? - Pukanie do drzwi było coraz głośniejsze.

- Chuck? Chwileczkę, zaraz przyjdę.

Nerwowo spojrzała na zegarek. Ojej, już prawie szósta. Musiała zasnąć.

Pobiegła do łazienki, żeby opryskać twarz zimną wodą. Potem, znowu biegiem, do sypialni, żeby wygrzebać z walizki czystą bieliznę. Złapała pierwsze lepsze z brzegu ubranie - białą batystową bluzkę i turkusową szeroką spódnicę. Z rajstop zrezygnowała, nie miała już nerwów na wciąganie ich. Wsunęła zatem bose stopy w białe sandały na półślupkach. Zupełnie nieprzemysłany ubiór! I to w momencie, kiedy chciała wyglądać jak dama, zaprezentować najlepsze maniery oraz chłodno i z góry odeprzeć ewentualne ataki starszego Feltona.

W pośpiechu wróciła do łazienki. Szybkimi ruchami szczotki przeczesła gęste, jasne włosy, błyskawicznie utuszowała rzęsy, pogrubiając je znacznie, i nałożyła grubą warstwę różowej szminki na usta.

Wypadła z pokoju i pobiegła długim korytarzem do jadalni. Steve stał u szczytu stołu, spoglądając na nią wzrokiem bez wyrazu. Po drugiej stronie, naprzeciwko brata, stał Chuck. Serdeczny uśmiech dodał jej odwagi. - Usiądź, proszę - odsunął krzesło przeznaczone dla Jenny.

Dziewczyna usiadła. - Przepraszam za spóźnienie.

- Nie ma sprawy. - Chuck unikał jej wzroku. Usiadł również. Jenny podniosła do ust szklankę z wodą, z której szybko wypijała kilka łyków. Nieśmiało zerknęła na Stevena.

Miał na sobie jasną bawełnianą koszulę i doskonale skrojone wąskie spodnie w tym samym odcieniu. Kto wie, czy obie rzeczy nie były skrojone na miarę. Jenny zatrzymała wzrok na rękach Stevena. Nie były to wąskie wypiełgnowane dłonie światowca, lecz spalone słońcem, zgrubiałe, silne dłonie mężczyzny, który nie boi się żadnej pracy. Dłonie pełne odcisków i blizn. A może jego serce nosiło podobne blizny? Może dlatego tak wrogo ją traktował?

Steve podniósł głowę. Spojrzenia obojga spotkały się przez moment. Potem on spuścił wzrok nieco niżej, na bluzkę Jenny, i skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

Jenny także spojrzała w miejsce, które przyciągnęło uwagę Feltona. Zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. Cóż się okazało? W pośpiechu zapomniała włożyć halkę, a bluzka była przecież przezroczysta. Dokładnie widać było przez nią koronkę jej stanika, który nie był specjalnie zabudowany. Co za wstyd! Jenny miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Milczeli wszyscy troje. Napięcie stawało się nie do zniesienia. Chuck był blady, siedział sztywno na swoim miejscu, wyraźnie unikając wzroku brata. Zacisnął usta w wąską linię, a brodę wysunął do przodu jak przekorny mały chłopiec, któremu ojciec czegoś zabrania, a który postanowił i tak postawić na swoim. Jenny żałowała, że dała się mu namówić na ten wyjazd, skoro tak źle przyjęto tu jej pojawienie się. Z drugiej strony to śmieszne, żeby dorosły facet nie mógł sobie przywieźć do domu dziewczyny, naprawdę! Czy powinien był spytać najpierw brata o pozwolenie?

Do pokoju weszła Luiza. Postawiła przed Chuckiem półmisek żaroodporny.

- Hmm - Chuck wciągnął w nozdrza znajomy aromat. - Czy to czasem nie mój ulubiony gulasz? Tak, Luizo, jesteś prawdziwym skarbem! - Głośny śmiech Chucka przerwał wreszcie ciszę.

Ale ani Steve ani Luiza nie przyłączyli się do tego śmiechu. Steve siedział nadal z kamienną twarzą, Luiza zaś była jakaś skwaszona.

Biedny Chuck, pomyślała Jenny. Ciągłe go tu uważają za dzieciaka, któremu można wiele wybaczyć, ale który wymaga stałej kontroli.

Luiza wyszła do kuchni po resztę dań, którą stanowiły: świeża kukurydza, duszona fasolka szparagowa, chrupiąca sałata i ciepły jeszcze biały chleb.

Steve zajął się rozdzielaniem jedzenia. Podziękowała mu grzecznie za swoją porcję. Wszystko było przepyszne, ale Jenny nie była w stanie prawie nic przełknąć. W tej atmosferze wrogości i dezaprobaty wszystko jej rosło w gardle,

W czasie kolacji Chuck zaczął z Jenny rozmowę o San Francisco. Zachowywał się przy tym tak, jakby brata nie było przy stole. - Pamiętasz, jak oboje... albo: - Mój Boże, jak fajnie było, gdy ty i ja...

Gadał i gadał, wylewał z siebie istny potok słów, a Jenny odpowiadała mu tylko monosylabami, cały czas trwożliwie zerkając na Stevena.

Ten jednak nie pokazywał po sobie żadnej reakcji. Jadł w milczeniu, spokojnie przeżuując kęsy. Wreszcie odłożył sztućce na bok.

- Jak się poznaliście, pani i Chuck? - spytał pochyliwszy się do przodu.

Jenny drgnęła. Nie była przygotowana na tak bezpośrednie pytanie i zakrztusiła się.

- Znalazła mnie w porcie. - Chuck przyszedł jej nieoczekiwanie z pomocą. Wyszczerył zęby w uśmiechu.

Jenny chciała dopowiedzieć, że wysłał ją tam szef, żeby coś załatwiła, ale nowy atak kaszlu uniemożliwił jej to.

Luiza przyszła posprzątać ze stołu. - Nasze proste jedzenie nie zasłużyło na pani uznanie? - zauważyła złośliwie, zabierając talerz Jenny, na którym zostawiła ona niemal połowę. - Nie dość eleganckie, jak dla pani, co?

- Ależ nie... wszystko było bardzo smaczne...

Luiza wcale jej już nie słuchała. Ze stertą talerzy poszła do kuchni. Po chwili podała bez słowa kawę.

Steve nie zamierzał już podejmować próby nawiązania rozmowy. Z twarzą jak maska siedział u szczytu stołu i spokojnie pił swoją kawę.

W nieprzyjemnej ciszy rozległ się nagle dźwięk klaksonu. Silnik zawył i koła przetoczyły się po żwirze. Potem silnik wyłączono, trzasnęły drzwi i do pokoju wpadła za chwilę młoda kobieta, krzycząc od progu: - Witajcie, kochani!

- Gloria! - mina Stevena rozjaśniła się, zerwał się od stołu, objął przybyłą i ucałował serdecznie.

Ona zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego z całych sił. - Hmm - mruknęła zadowolona. - Nie zapomniałeś, jak się całuje.

Jenny nie mogła oderwać od nich dwojga wzroku. Poczowała jakiś niewytłumaczalny ból w sercu.

- Hej, Chuckie, jak się masz! - zawołała nieznajoma ponad ramieniem Stevena.

- Jakoś leci - odparł Chuck z przymusem. - Widzę, że wróciłaś na stare śmieci. - Niechętnie podniósł się od stołu i zamarkował ukłon.

- A wróciłam, wróciłam. Jak ptaki przelotne wracam zawsze do ojczyzny. Tak jest co roku. - Gloria roześmiała się perliście.

Jenny patrzyła na nią z zazdrością. Czarne, błyszczące oczy, czarne, połyskliwe włosy spadające w łagodnych falach na ramiona - co za oryginalna uroda, taka nieco indiańska. Na szyi miała kilka srebrnych łańcuszków, cienkie srebrne bransoletki zdobiły również jej przeguby, a z uszu zwisały dwa wielkie srebrne koła. Czarne dzinsy opinały jej szczupłe biodra i nieprawdopodobnie długie nogi. W pasie przewiązana była szeroką liliową szarfą, połączoną z szeroką jedwabną bluzką w tym samym kolorze. Była to z całą pewnością niezwykle atrakcyjna kobieta.

- Tęskniłeś za mną, Chuckie? - przekomarzała się z chłopakiem kładąc głowę na ramieniu Stevena,

- Jeszcze jak! Prawie już usychałem z tęsknoty - odparł Chuck bez entuzjazmu.

Gloria roześmiała się głośno. - Zawsze taki sam, nasz kochany, mały Chuck. - Spojrzała na Jenny. - Oho, a to kto? - podniosła brwi i obejrzała sobie dziewczynę od stóp do głów.

- Poznajcie się: Jenny Vandeen - Gloria Vickers.

- Halo - odezwała się Jenny niepewnie.

- Halo - w głosie Glorii zabrzmiały chłód i wyższość. - Nowa sympatia, Chuck?

- Jenny jest z San Francisco. Spędzi u nas wakacje - odezwał się Chuck ostrym tonem.

- Jak to miło. A piękna Helena? Jak się na to zapatruje? Chuck zaczerwienił się. Zaciśnął pięści. - To nie ma nic wspólnego z Heleną!

Jenny ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciela. Kim była owa Helena?

- Jeśli tak mówisz... - Gloria wzruszyła ramionami i usiadła na wolnym miejscu obok Stevena.

- Jesteś może głodna? - Steven uśmiechnął się do Glorii z taką czułością, że Jenny aż zaparło dech w piersiach.

- O, nie, kochanie, dziękuję. O tej porze nie jadam.

- Ale kawą nie pogardzisz?

Pochyliła się ku niemu wężowym ruchem. - A czego innego nie dostanę?

- Chwilowo... nie. - Steven uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Luizo! Mamy gościa. Proszę przynieść jeszcze jedną kawę! - zawołał i znowu zwrócił się do Glorii. - Późno zjawiałaś się w tym roku.

- Pochlebia mi, że to zauważyłeś. Miałam gości, których jakoś nie mogłam się pozbyć.

- Gloria! Nareszcie pani przyjechała! Myślałam już, że w tym roku coś pani wypadło! - Luiza postawiła kawę przed ciemnowłosą kobietą.

- Nigdy! Sześć miesięcy w roku w Nowym Jorku zupełnie mi wystarczy, a potem potrzeba mi już świeżego powietrza i tych przestrzeni, które są tylko tutaj. - Zerwała się od stołu, żeby uściskać gospodynię. Ach, Luizo, jak pięknie być znowu z wami. Mam dla pani prezent, wręcę go pani później.

W uszach Jenny serdeczność Glorii brzmiała bardzo fałszywie, ale inni widocznie, inaczej ją odbierali. Luiza też rozpromieniła się cała, tak jak już to miało miejsce przy witaniu się z Chuckiem. - Dziękuję, ule po co ten kłopot, Glorio? - zaprotestowała pro forma, bo widać było, że jest zadowolona. - Jeśli ktoś będzie miał jeszcze ochotę na kawę, dzbanek stawiam na stole.

Gloria rozpoczęła bardzo ożywioną rozmowę ze Stevenem, do której wciągnęła stopniowo i Chucka, interesując się niby to jego końmi. Jenny w ogóle dla niej nie istniała, mimo to nie spuszczała jej z oczu. Także i z jej strony wyczuła wrogość i niechęć. Najbardziej bolesna była przemiana, jaka wraz z pojawieniem się ciemnowłosej kobiety zaistniała w Stevenie. Umiał więc się szarmancko uśmiechać, umiał być uprzejmy i sympatyczny... A czymże ona zasłużyła na odmienne traktowanie?

- Przywiozłeś sobie dziewczynę z ostatniego rodeo? - Gloria spojrzała kpiąco na Chucka, a później na Jenny. - Pani jest jedną z tych panienek, które jeżdżą z rodeo na rodeo i ścielą się do stóp młodym bohaterom oraz są gotowe zrobić dla nich wszystko?

Jenny zbladła jak ściana. Otworzyła usta, ale nie mogła wydusić z siebie ani jednego dźwięku.

- Jenny ma posadę w San Francisco - usłyszała wściekły głos Chucka. - Tu jest na wakacjach, jak już mówiłem.

- Ach, prawda, przypominam sobie. - Gloria wstała od stołu. - Do zobaczenia, do jutra, kochanie - zagruchała, obdarzając Stevena najwdzięczniejszym ze swych uśmiechów. - Pa, pa, mój słodki Chuckie, do widzenia pani, Jenny, tak ma pani na imię, prawda?

Jenny skinęła sztywno głową.

- Jeśli jeszcze raz nazwie mnie Chuckie, rozerwę ją na kawałki - syknął, gdy Gloria ze Stevenem wyszli na zewnątrz.

- Kim jest ta kobieta?

- Jej ojciec ma tu w pobliżu rancho, ogromną posiadłość, ale jej nie uprawia. Mieszka w Nowym Jorku, a przyjeżdża tu tylko co kilka lat. Gloria zamieszkała na rancho ze swoim mężem, a kiedy się rozwiodła przed dwoma laty, przyjeżdża w nasze strony na wiosnę i lato. Jesień i zimę spędza w Nowym Jorku. Strasznie się napaliła na Stevena. Myślę, że już zarzuciła na niego przynętę.

A więc tak się sprawy mają, pomyślała Jenny. Nawet do siebie pasują, przynajmniej jeśli chodzi o brak manier.

- Może byśmy sobie ucieli pogawędkę przed kominkiem? - zaproponował Chuck.

Jenny spojrzała krytycznie na swoją bluzkę. - Chętnie, tylko włożę coś na siebie. Zmarzłam już trochę.

Kiedy wróciła, Chuck siedział już na niskiej sofie, a nogi ułożył wygodnie na stoliku z drewna orzechowego. Steven stał obok i zapalał fajkę.

- O, rany, ale się dzisiaj naharowałem! - Chuck przeciągnął się swobodnie.

- To nie San Francisco, Chuck. Tu się naprawdę pracuje - odparł Steven z niewzruszonym spokojem.

- Chodź, Jenny, usiądź tu przy mnie! - Chuck zobaczył dziewczynę i przywołał ją do siebie. Patrząc wyzywająco na brata, objął Jenny ramieniem.

- Chuck! - zaprotestowała słabo, ale Chuck wcale się tym nie przejął, tylko przytulił ją do siebie..

- Co pani robi w San Francisco, panno Vandeen? - Steve usiadł w fotelu bliżej kominka.

- Ja... pracuję w agencji ubezpieczeniowej... jako sekretarka.

- Czy pensja sekretarki starcza pani na utrzymanie w tak drogim mieście, jakim jest San Francisco?

- Och, Jenny dorabia sobie w inny sposób - odezwał się Chuck. Jenny wiedziała, co miał na myśli. Po godzinach dorabiała sobie rzeczywiście przepisywaniem na maszynie, tylko że Chuck sformułował to tak dwuznacznie...

- Tak też myślałem - stwierdził Steve ironicznie. Jenny nie spodziewała się po nim innej reakcji.

- Powiedziałeś Charliemu, żeby zamontował jutro wschodnią bramę? - teraz zwrócił się do brata.

- O, cholera, zapomniałem.

- Nie uważasz, że powinieneś naprawić do niedopatrzenie? Chuck spojrzał ze zdziwieniem na Stevena. - Słuchaj, Steve... zaczął, ale nie dokończył. - Puścisz mnie na chwilę, kochanie? - spytał Jenny.

- Chyba mnie nie zabije - powiedziała odważnie, jak na nią. Miała oczywiście na myśli Stevena. Dopiero po chwili przypomniała sobie, jak Chuck ją nazwał. „Kochanie”, patrzcie państwo! Odbiło mu czy co? On tymczasem wypadł jak burza na zewnątrz.

- Jak się pani podoba nasze rancho, panno Vandeen? Podniosła głowę przestraszona. - Tak, och... bardzo! Jest cudowne.

Nie myślałam, że jest tak ogromne...

- Zakładam, że jest pani zadowolona?

- Zadowolona? Owszem... ale nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Zadowolona z tego, że pani starania się opłaca.

- Jakie znowu starania? Przykro mi, ale naprawdę nie wiem, o co panu chodzi.

Steve poprawił się w fotelu. - Chuck ma dziewczynę. To dziewczyna stąd. Pasuje do niego. A pani myli się sądząc, że będę z założonymi rękami patrzył, jak krzywdzi pani Chucka. Panienka z wielkiego miasta usidliła prowincjusza

i chce się wydać za niego, a właściwie za jego majątek. Panienska nie wie jednak, że mimo znacznego zysku z owego majątku, nie ma tu pieniędzy na zbytki, na drogie ciuchy, na kolacje w ekskluzywnych restauracyjkach, na rejsy jachtem. Utrzymanie ranca i zagospodarowanie go pochłania szalone sumy. - Przerwał na chwilę potok słów, żeby obrzucić Jenny wrogim spojrzeniem. - Niech się panienska lepiej spakuje i jak najszybciej wraca tam, skąd przyjechała. Szczęście na pewno pani dopisze i znajdzie pani następnego frajera.

- Nie! - Jenny zacisnęła pięści i zerwała się z sofy. - Myli się pan! Ja i Chuck jesteśmy tylko przyjaciółmi. Ja... jestem porządną dziewczyną. Naprawdę nie mam zamiaru wdzierać się na miejsce wybranki Chucka.

Steve skrzywił się szyderczo. - Wierzę pani na słowo. Hahaha!

- Podniósł się z fotela i zbliżył do przerażonej dziewczyny. Cofnęła się, ale on był szybszy. Złapał ją w nadgarstkach z siłą stalowych obręczy.

Jenny omal nie zemdląła ze strachu i upokorzenia. Drżała na całym ciele.

- Odjadę tylko wtedy, gdy Chuck mnie o to poprosi! - odparła stanowczo. Oburzenie wzięło jednak górę nad strachem. - Ma on do tego ranca takie samo prawo jak pan. Jest już, dzięki Bogu, pełnoletni i sam może o sobie decydować. To jego życie - niech robi z nim, co chce. - Jenny urwała na chwilę, zaskoczona własną odwagą. Wiedziała, że posunęła się za daleko, ale było jej naprawdę wszystko jedno.

- I ja też nie pozwolę sobie niczego narzucać. - Wyprostowała się dumnie i, o dziwo, wytrzymała złowrogie spojrzenie Stevena.

- Zrobi pani to, co pani każe!

- Ani myślę! - W oczach Jenny pojawiły się gniewne błyski. - Nie ma pan prawa podejmować decyzji poza plecami Chucka. Tak krótko pan go trzyma, a on już dawno przestał być dzieckiem. Czy pan tego nie widzi? A może pan woli, żeby zostało tak, jak jest? Może brat stanowi dla pana jakieś zagrożenie? Konkurencję?

Palce Stevena zacisnęły się mocniej na szczupłych przegubach : dziewczyny. Jego twarz najpierw pobladła, a potem zaraz poczerwieniała. Napreżył mięśnie jak drapieżnik szykujący się do skoku.

Jenny zamknęła oczy.

Tymczasem Steven uśmiechnął się do niej. Przesunął wzrokiem po jej ciele, co wprawiło Jenny w niemałe zakłopotanie. Miała wrażenie, że rozbiera ją oczami, że stoi przed nim naga i bezbronna.

- Przyjaciele? Pani i Chuck jesteście tylko przyjaciółmi? Kto pani w to uwierzy? Ode mnie proszę tego nie oczekiwać. Nie jestem obojętny na

kobiece wdzięki. Chuck też nie. - Roześmiał się sarkastycznie i przyciągnął Jenny do siebie.

Zdumiona usiłowała go odepchnąć. Im bardziej jednak się broniła, tym bardziej ją przytulał. Po raz pierwszy w życiu czuła ciało podnieconego mężczyzny tak blisko przy sobie. Kolana jej zmiękły i zrobiło jej się najpierw zimno, a zaraz potem gorąco.

Jak puma rzucająca się na zdobycz, przycisnął usta do warg dziewczyny. Cóż to był za pocałunek! Twardy, bezlitosny, jakby Steven chciał nim ukarać to młode stworzenie, które ośmieliło się sprzeciwić jego woli. Nie była to jednak słodka zemsta, lecz brutalny gwałt. Jenny jęknęła z bólu, ale Steven nie puścił jej. Lewą ręką złapał za jej biust. Miętosił go tak silnie, że dziewczyna krzyknęła.

Steven przerwał na chwilę. - Zna się pani na tym, no, no...

- Proszę, niech pan przestanie...

Zamknął jej zebrzące litości usta kolejnym pocałunkiem. Tym razem była to delikatna pieśczoła, muskanie i leciutkie lizanie ust.

Jenny stwierdziła przestraszona, że znajduje przyjemność w czułym dotyku warg Stevena. Nigdy jeszcze nie odczuwała takiej przyjemności i zupełnie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Serce jej biło jak oszalałe, puls zaś tętnił jak stado koni. Stopniowo zrezygnowała z oporu i nagle ni stąd ni zowąd sama z siebie zarzuciła mu ramiona na szyję i z własnej woli przytuliła się do niego.

Steven puścił ją natychmiast, i to tak gwałtownie, że straciła równowagę i przewróciła się na sofę. Patrzyła nic nie rozumiejąc.

- Na zewnątrz gładka i piękna, w środku zaś zepsuta do szpiku kości! - stwierdził z pogardą, odwracając od niej wzrok.

Jenny obmacała palcami spuchnięte wargi. - Ależ z pana bydlę... - szepnęła.

Roześmiał się chrapliwie. - To tylko małeńka próbka tego, co panią czeka, jeśli nie zastosuje się pani do mojej prośby. Jeszcze pani pożałuje znajomości z Chuckiem, panną Vandeen. Teraz udzieliłem pani pierwszej lekcji, po niej nastąpią kolejne.

Trudno było nie usłyszeć groźby w tym na pozór spokojnym głosie.

Felton odwrócił się i szybko poszedł w stronę drzwi.

- Niech pani zapamięta moje słowa! - zawołał jeszcze od progu. Jenny usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Dlaczego Steven upokorzył ją w tak brutalny sposób? Dlaczego traktował ją, jakby była dziwką? Dlaczego napadł ją jak dzikie zwierzę? Ciotka Ada miała rację. Mężczyźni są bezwzględnyimi okrutnikami.

Drzwi otworzyły się z impetem i do jadalni wszedł Chuck. Jenny zerwała się na równe nogi.

- Hej, co się stało? - spytał, patrząc na nią uważnie. - Jesteś po prostu sinoblada. Czy Steve...

- Zaistniała między nami mała różnica zdań. - Jenny starała się mówić spokojnie i rzeczowo. Jutro i tak opuści ten niegościnnie dom. Po co siać zamęt między braćmi?

- Czy on cię znowu obraził? - Chuck pokręcił głową niezadowolony. - Kurde, co mu się porobiło? Nigdy taki nie był. A zresztą, do diabła z nim! Kimże on jest, żeby sobie powalać na takie chamstwo? Powiedz, Jenny, może jednak zostaniesz u nas trochę? Jesteś w końcu moim gościem.

- Nie mówisz chyba tego poważnie!

- Owszem. Nie widzę powodów, dla których mój brat miałby decydować, kogo mi wolno zaprosić na rancho, a kogo nie. Muszę mu pokazać, że ja też mam do niego prawo, czy mu się to podoba, czy nie. Chciałbym, żebyś mi w tym pomogła, Jenny.

- No... nie wiem - zawahała się.

Przyjrzał się jej bladej, zmęczonej twarzy. - Okay, Jenny, prześpij się z tą propozycją. Możesz zostać w łóżku, ile ci się podoba. Luiza przygotuje ci śniadanie o każdej porze. Koło południa zajrzę do ciebie, żeby się dowiedzieć, jaką decyzję podjęłaś. - Uśmiechnął się serdecznie. - Głowa do góry, Jenny. Nie damy się staremu Stevenowi!

- Dobranoc, Chuck - powiedziała Jenny, ale w jej wzroku czaiło się mnóstwo wątpliwości.

- Dobranoc, dziewczynko - pogładził ją po policzku. - Jutro rano świat będzie dla nas łaskawszy, ja ci to mówię.

Rozdział 3

Następnego ranka Jenny obudziły promienie słoneczne, które jakoś przedostały się przez grube kotary. Ziewając spojrzała na zegarek. Po dziesiątej! A to sobie pospała!

Przeciągnęła się leniwie i usiadła na łóżku. Wzrok jej padł na zmiętoszone ubranie, rzucone w nieładzie w dogach łóżka. Natychmiast przypomniała jej się scena, która wczoraj rozegrała się między nią i Stevenem. W jasnym blasku słońca wydawała jej się tak nierealna, że aż trudno było w nią uwierzyć. Dotknęła językiem obrzękłych warg. Ależ tak, Steven napadł na nią wczoraj jak ostatnie bydło i poniżył ją.

Jego agresywna postawa wynikała zapewne z zazdrości o brata. Wydawało mu się, że zdobył monopol na kierowanie Chuckiem, a Jenny stanowiła dla niego pewne zagrożenie.

Chuck poprosił ją o pomoc. Chciał się już pewnie wyzwolić spod wpływu brata. Jenny zdawała sobie sprawę, że pozostanie na rancho wymaga odwagi i samozaparcia. Musi się przygotować na nieustanne ataki ze strony starszego Feltona, na pasmo upokorzeń i udreki, które sam zresztą zapowiedział.

Weszła pod prysznic. Tym razem wolała zimny strumień wody od rozleniwiającej ciepłej kąpieli. Umyła się szybko, wysuszyła i ubrała. Rozsunęła ciężkie kotary. Jaskrawe słońce oślepiło ją. Odczekała chwilę, żeby oczy przyzwyczyły się do nowych warunków świetlnych, i wyszła na werandę rozsunąwszy uprzednio szklane drzwi. Odetchnęła głęboko świeżym, korzennym powietrzem. Góry były tak blisko, w zasięgu, wydawałoby się, ręki. Bielejące w dolinie zabudowania stajni Feltonów wyglądały jak malownicza wiejska osada.

Jenny podjęła nagle decyzję. Zostanie na rancho z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że Chuck ją o to prosił, a po drugie - na złość jego bratu. Pokaże temu zakichanemu kowbojowi, że nie tak łatwo ją zastraszyć.

Poszła do jadalni.

- Już pani wstała? - Luiza patrzyła na nią z wyrzutem. - Myślałam, że przyjdzie pani dopiero na kolację.

Jenny zaczerwieniła się. - To chyba zasługa tutejszego zdrowego powietrza, że tak długo spałam. Dzień dobry, pani Luizo. Dziękuję za śniadanie.

- Jeśli nie będzie pani odpowiadało, proszę sobie zrobić coś innego. Ja nie mam już na to czasu. Muszę przygotować obiad. Długo pani u nas zabawi?

- Zależy... - Jenny wzruszyła ramionami.

- Ciekawe od czego... - mruknęła stara i wyszła trzaskając głośno drzwiami.

Jenny mieszała kawę w filiżance zastanawiając się, czemu wszyscy, oprócz Chucka, są tu dla niej tacy niemili. Zjadła śniadanie i odniosła brudne talerze do kuchni, co oczywiście bardzo się nie spodobało Luizie.

Potem wyszła przed dom i natychmiast oszołomił ją bezmiar zielonej przestrzeni łąk i pastwisk. Boże, jak tu pięknie! - pomyślała z zachwytem.

Rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie dostrzegła ani śladu Chucka. Może i dobrze, bo w tej sytuacji miała jeszcze trochę czasu na przemyślenie swej decyzji.

Zza węgła domu wychynął czarno-biały pies pasterski i przyjrzał się jej ciekawie.

- Chodź, piesku, chodź! - Jenny przykucnęła, wyciągając rękę w stronę owczarka.

- Nie boi się pani, że może panią ugryźć?

Jenny zamarła. Nie okazać słabości, przykazała sobie w myślach i odwróciła się powoli. - Tu gryzą tylko ludzie, panie Felton - powiedziała pewnym głosem, patrząc Stevenowi prosto w oczy.

Na ustach Stevena pojawił się uśmiech, ale szybko twarz mu się zmieniła, przybierając swój zwykły odstręczający wyraz. - Nie lubimy, jak się z nas robi głupich - odparł głosem ostrym jak brzytwa.

Na szczęście lub nieszczęście dla Jenny, usłyszeli oboje tętent kopyt i oczom ich ukazała się ciemnowłosa kobieta pędząca na karym koniu. Ściągnęła cugle i zatrzymała konia tuż przed Stevenem.

Jenny patrzyła na nią z podziwem. Gloria i koń tworzyli jedną całość, odlani jakby z jednej bryły metalu.

- Jaka ty jesteś piękna, Glorio - szepnął Steven, nie na tyle jednak cicho, żeby nie dotarło to do Jenny.

- Dziękuję ci, kochanie. - Podarowała Stevenowi swój najbardziej olśniewający uśmiech.

Jenny nie wiedziała, co począć z oczami. Czuła się jak intruz.

- Przyjechałam, żeby zabrać Jenny na przejażdżkę. Miałaby pani ochotę?

Jenny złękła się. - Ja? Och... nie, dziękuję. Nie umiem jeździć konno. v

- Nie? - Gloria pokręciła głową z udawanym zdziwieniem. - Ale to naprawdę nic takiego. Nawet najgłupsza gęś, o, przepraszam, nie miałam pani na myśli, potrafi usiąść prosto w siodle i dać mu się unieść.

- Nie miałam nigdy okazji spróbować tego sportu. Nigdy nie wyjeżdżałam z miasta.

- Glorio, a może byś wprowadziła pannę Jenny w tajniki jeździectwa? - uśmiechnął się Steven.

- Doskonały-pomysł - ucieszyła się czarnowłosa.

Jenny patrzyła z powątpiewaniem to na jedno, to na drugie. Ta ich nagła serdeczność była bardzo podejrzana. - Poczekam raczej na Chucka.

- Chuck jest zajęty. Nie ma czasu na takie rozrywki. Jeżeli nie ma pani odwagi... - Gloria zawiesiła głos.

- Nie boję się wcale.

- Glorio, powiedz Willy'emu, żeby osiodłał Mickeya.

- Oczywiście. Chodźmy, Jenny. - Pomachała Stevenowi na pożegnanie. - Bye, kochanie. Zobaczymy się później. - Spięła konia ostrogami i pojechała do stajni.

Jenny stała przez chwilę niezdecydowana, potem jednak ruszyła za Gloria.

- Willy! Panna Jenny chce się przejechać w moim towarzystwie. Niech pan osiodła dla niej Foxfire'a.

Jenny zdążyła usłyszeć jej słowa i zmarszczyła czoło. Czy Steven nie podał Glorii innego imienia?

- Foxfire'a, proszę pani? - spytał Willy zdziwiony.

- Słyszał pan przecież.

- Chciałem się tylko upewnić. - Willy wzruszył ramionami. Zaraz potem przyprowadził osiodłanego gniadosza.

- Niech pani wsiada - powiedział do Jenny. Spojrzała bezsilnie na olbrzyma stojącego obok.

- Niech pani patrzy, jakie to łatwe - zawołała Gloria. Z wdziękiem zeskoczyła z konia i z powrotem na niego wsiadła.

Jenny próbowała ją naśladować. Wilgotnymi dłońmi schwyciła cugle, włożyła stopę w strzemię, ale koń spłoszył się i zatańczył nerwowo w miejscu.

Jenny puściła uzdę, z trudem zachowując równowagę.

Willy splunął brązową tabaką w jasny piasek stajni. - Musi go pani podejść z lewej strony - mruknął opryskliwie. Przytrzymał konia.

Czerwona z przejęcia Jenny okrzyła konia. Foxfire zwrócił ku niej łeb i zarżał. - Bądź przez chwilę spokojny - szepnęła błagalnie. Wetknęła nogę w strzemię, rękami zaparła się o siodło i centymetr po centymetrze pokonała odległość dzielącą ją od zbawczego siedzenia.

Willy dopasował strzemiona do długości jej nóg, Jenny zaś rozejrzała się w tym czasie. Steven był tu oczywiście. Stał przy ogrodzeniu wybiegu i

uśmiechał się wrednie. - Czekaaj, draniu, ja ci pokażę! - pomyślała Jenny z niezwykłą jak na nią zaciętością.

- Ruszamy! - zawołała Gloria wesoło. Pomachała Stevenowi i zmusiła swego konia do kłusu.

Koń Jenny ruszył również, ale stało się to bez jej udziału. Jedną ręką trzymała uzdę, a drugą siodło. Siedzenie jej uderzało rytmicznie o gładką skórę siodła, a zęby uderzały o siebie w tym samym staccato.

Gloria odwróciła się. Zły uśmiech zdeformował jej delikatną twarz. Spięła konia do szybszej jazdy.

Jenny ściągnęła cugle, ale i tak walczyła głównie o utrzymanie się na grzbiecie wierzchowca. Foxfire wyczuł natychmiast, z kim-ma do czynienia, i puścił się galopem.

- Gio-rio-niech-pa-ni-za-trzy-ma! - zawołała zdyszana Jenny.

- Niech pani ściągnie cugle!

- Nie-mo-gę!

Piaszczysta droga, którą wybrała Gloria, prowadziła teraz przez sosnowy las. Nagle Foxfire wyrwał w bok. Dzikim galopem puścił się na przełaj między drzewami, wykorzystując każdą lukę, która mu się po drodze trafiła. Jenny puściła zupełnie uzdę i obiema rękami schwyciła łąk. Kołysała się silnie w przód i w tył, i co gorsza, w ogóle nie mogła temu zaradzić. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na zbliżającą się w szaleńczym tempie wąziutką lukę między dwoma potężnymi pniami. Jej koń zmierzał prosto ku niej.

- Stop! Foxfire, stań! - krzyczała Gloria galopując za Jenny, żeby jakoś wyhamować jej konia. Przerażliwy głos Glorii i tętent jej wierzchowca zdawały się jeszcze bardziej podniecać Foxfire'a. Galopował coraz szybciej. Jenny zamknęła oczy. Była więcej niż pewna, że wybiła jej ostatnia godzina. Za chwilę, za kilka sekund roztrzaska się o pnie sosen...

Pół metra przed przeszkodą Foxfire skręcił nagle w bok. Jenny zsunęła się z siodła i spadła na runo leśne. Poczowała jeszcze ostry ból w potylicy i zamknęła się nad nią ciemność.

- Panno Vandeen! Niech pani wstanie, niechże pani chociaż otworzy oczy! Nic się przecież pani nie stało!

Ktoś szarpał ją za ramiona.

Otworzyła oczy z trudem. Leżała w ramionach Stevena. Usiadła gwałtownie, ale zaraz z okrzykiem bólu opadła z powrotem. Ostrożnie obmacała obrzęk z tyłu głowy.

- Nabiła sobie pani guza i to wszystko - zauważył Steve. W jego głosie nie było nawet cienia współczucia.

Jenny zacisnęła zęby. Postanowiła nie odzywać się do tego gbura. Sama miała wrażenie, że na swym ciele nie znalazłaby już ani jednego niebolesnego miejsca. Dodatkowe cierpienia sprawiała jej jazda jeepem, który prowadziła Gloria. Nie troszczyła się bynajmniej o jej samopoczucie.

- Auu! - zawyła z bólu Jenny, gdy Gloria raptownie zahamowała przed stajniami. Pasażerka o mało nie wyrznęła głową w przednią szybę.

- Przepraszam! - rzuciła Gloria beztrąsko.

- Co ci się stało? - zawołał przestraszony Chuck. Wjechał właśnie na dziedziniec i natychmiast zauważył bladą, wykrzywioną bólem twarz przyjaciółki. - Steve? - rozejrzył się za bratem.

- Udzielił mi właśnie pierwszej lekcji. - Jenny nie spuszczała wzroku ze Stevena.

- Spadła z konia, Chuck - wyjaśnił spokojnie Steve. - Nabiła sobie guza na głowie i to wszystko.

- Powinieneś bardziej na nią uważać. Jakiego konia jej dałeś?

- Naszego starego dobrego Mickeya.

- Foxfire'a - poprawiła Jenny. Mój koń nazywał się Foxfire.

- Foxfire! - Chuck poczerwieniał z irytacji. - Przecież to nie jest wierzchowiec dla początkujących! Oboje dobrze o tym wiecie!

Steve i Gloria wzruszyli jednocześnie ramionami.

Tymczasem w drzwiach stajni pokazał się Willy. - Coś się stało? - spytał z obłudnym zainteresowaniem, patrząc wymownie na brudne ubranie Jenny.

- Nic takiego, najadłam się tylko trawy - zauważyła Jenny sarkastycznie.

- Co za pech! - odchrząknął Willy.

Nikt prócz Chucka nie przejął się jej upadkiem z konia. Przeciwnie, cała reszta okazywała złośliwą radość z tego powodu. Gdyby sobie złamała kark, pewnie skakaliby do góry z radości, pomyślała rozgoryczona Jenny.

- Chodź, Jenny, odwiozę cię do domu. - Chuck objął ją troskliwie i poprowadził do swego samochodu.

W domu odprowadzi! Jenny aż pod drzwi jej pokoju. - Weź teraz aspirynę i wykup się w gorącej wodzie. To prosty środek, a sama się przekonasz, jaki skuteczny. - Chuck pogładził ją po zmierzwionych włosach. - Nie przejmuj się tymi draniami. Nie damy im się.

Rozdział 4

Rozległ się dźwięk gongu - sygnał, że kolacja gotowa.

- Wygląda pani, jakby przed chwilą wyszła pani z salonu kosmetycznego - usłyszała za sobą głos Stevena, gdy tylko wyszła z pokoju.

- Rozczarowałam pana, panie Felton? Nie traci pan czasu, jak widzę. Steve spojrzał na nią pytająco.

- Zapowiedział pan przecież, że jeśli się stąd nie wyniosę, dołoży pan wszelkich starań, żeby zniszczyć przyjaźń moją i Chucka. Nie myślałam wszakże, że tak szybko wcieli pan swe obietnice w życie. Może zdradzi pan, jakie jeszcze atrakcje zgotuje mi pan?

- Jeśli nie ma pani kuloodpornej kamizelki, to proszę nie pokazywać się na terenie ostrego strzelania - brzmiała lakoniczna odpowiedź Stevena.

Wspólnie weszli do jadalni.

- Wyglądasz świeżo i zachwycająco jak młody żrebaczek - uśmiechnął się Chuck, podsuwając Jenny krzesło.

- I tak też się czuję.

Chuck pokiwał głową z zadowoleniem. - To dobrze, dzielna z ciebie dziewczyna, Jenny. - Przy okazji obrzucił brata złym spojrzeniem.

- Może się teraz zrazić do koni. Często tak bywa, gdy początkujący spadnie z konia.

Steve nie mógł sobie oczywiście oszczędzić uszczypliwej uwagi, ale Jenny tylko zacisnęła wargi.

- Przepraszam, Jenny, że nie przyszedłem do ciebie, tak jak się umówiliśmy, ale jednemu z koni spuchły pęciny i musiałem mu robić okłady. No i jak? Wyjeżdżasz czy zostajesz?

- O, pani Vandeen znowu chce nas opuścić? - zainteresował się Steven. - Naprawdę? Jaka szkoda!

Jenny wyprostowała się dumnie. - Oczywiście, że zostanę, Chuck. Odpowiada mi przyjazna atmosfera panująca na tym rancho. - Słowom dziewczyny towarzyszyło triumfalne spojrzenie na Stevena.

- Ależ to cudownie! - rozpromienił się Chuck, a jego jawna radość stanowiła szokujący kontrast z kamienną twarzą brata. Zaraz też zaczął snuć plany, co pokaże Jenny w czasie jej pobytu na rancho. Jenny bardzo się do nich zapaliła, ale cały czas rozmyślała gorączkowo, czy da radę wytrzymać ze Stevenem i tą jego Gloria.

- Gdzie macie te wielkie stada bydła? - spytała z ciekawością, bo nie widziała dotychczas ani jednego cielaka.

- Są teraz na letnim wypasie w górach.

- A kiedy je spędzicie w dolinę?

- Późną jesienią. Na wiosnę znowu je przeniesiemy w góry. Latem pracujemy na dole z końmi. Ujeżdżamy jednoroczniki. Poza tym trzeba naprawić płoty, ogrodzenia i bramy. Ważny jest również techniczny przegląd wszystkich urządzeń. Właściciel rancza to dzisiaj mechanik, technolog żywienia, weterynarz, elektryk, kupiec i księgowy w jednej osobie. Przed stu laty wyglądało to zupełnie inaczej. Było tu prawdziwe bydło, nie ta dziwaczna mieszanka krowy i plemników z próbówki, pompowana hormonami.

- Chuck, proszę... - Steve podniósł się od stołu. - Ten temat przerabialiśmy już dostatecznie często. Wiesz równie dobrze jak ja, że musimy iść z postępem, żeby wygrać z konkurencją.

- Dobra, dobra - machnął ręką Chuck. Wyciągnął rękę do Jenny. - Chodź, nie możemy teraz dopuścić do zastoju mięśni. Poruszaj się trochę. Idź na spacer, obejrzyj sobie wszystko. Zobaczymy się przy kolacji.

- Okay, Chuck. - Ma więc iść na spacer. Ławo powiedzieć, trudniej zrobić. Nogi Jenny ważyły chyba tonę każda. Uda miała twarde jak kamień, a wewnętrzna ich strona paliła ją żywym ogniem. Najchętniej zagrzebałaby się w ciepłym łóżeczku i nie wychodziła z niego co najmniej przez dwa dni. Ale Chuck ją ostrzegął i musiała go, chcąc nie chcąc, posłuchać. Miał przecież doświadczenie w tych sprawach. Zebrała więc siły, których niewiele jej już zostało, i wyszła na dwór.

Szeroka zwirowana alejka prowadziła naokoło domu. Jenny postanowiła sprawdzić, dokąd ona prowadzi. Potem pójdzie przez zielone łąki nad rzekę, wijącą się na skraju lasu. Widziała z okna pokoju jej malownicze meandry.

Za domem znajdował się ogródek warzywny. Pracowała w nim właśnie Luiza w niebieskim kombinezonie i szerokoskrzydłym słomianym kapeluszu.

Jenny podeszła do płotu. - Jaki śliczny ogród - powiedziała - i jak wspaniale utrzymany.

Luiza uniosła głowę, mrużąc coś niezrozumiale, po czym schyliła się znowu nad swymi grządkami, jakby Jenny nie stała o dwa metry od niej.

Dziewczyna westchnęła i poszła dalej. Dotarła do garażu, przy którym ustawiono stabilną szopę na drewno. Zajrzała ciekawie do ciemnego wnętrza. W najdalszym kącie szopy, na kupie siana, baraszkowały słodkie małe szczeniaczki, wszystkie białe z czarnymi łatami lub na odwrót. Przewracały się jak małe puszyste kłębki wełny pod czujnym okiem leżącej obok suki.

Jenny podeszła ostrożnie bliżej. - Jakie masz śliczne dzieci! - powiedziała cicho, żeby jej nie spłoszyć. Suka uniosła łeb, obwąchując z daleka gościa. Nie znalazła widać w jej zapachu nic złego, ponieważ pozwoliła, żeby Jenny pobawiła się z małymi.

Po jakimś czasie dziewczyna wycofała się w stronę drzwi. Nie przewidziała, że szczeniaczki pobiegną za nią. Na szczęście ostre warknięcie matki przywołało je do porządku. Jeden tylko puszysty kłębuszek nie posłuchał suki. Skakał na krzywych nóżkach wokół stóp Jenny i lizał je małym różowym języczkiem.

- Wracaj do swego rodzeństwa, maluchu - powiedziała i pogłaskała go ostatni raz.

Ruszyła na przelaj przez pachnącą, usianą kwiatami łąkę, nad strumień. Powodowana jakimś impulsem odwróciła się, żeby z tej strony obejrzeć dom. Białe ściany aż oślepiały w jaskrawym słońcu. Jakiś jeździec zbliżał się właśnie do domu. Jenny rozpoznała w nim Stevena. On też ją zauważył. Skłonił się i zaszalutował jej szyderczo.

Jenny odwróciła szybko głowę. Chciała być sama, chciała naładować akumulatory do walki ze Stevenem, wiedziała bowiem, że walka taka nastąpi jak amen w pacierzu.

Odetchnęła głęboko wspaniałym górskim powietrzem. Tak ogromnie jej się tu podobało... ale widać w każdym rajskim ogrodzie musi się znaleźć jakaś zmija.

Jenny zdjęła sandały i usiadła na ciepłej, suchej trawie nad brzegiem strumienia. Był nieco szerszy, niż się spodziewała, ale za to płytszy. Przez przejrzystą wodę prawie we wszystkich miejscach można było zobaczyć dno. Tylko gdzieś tam ciemny turkus wody wskazywał na głębsze miejsce.

Zapatrzoną w nurt strumienia Jenny ogarnął jakiś dziwny spokój. Świergot ptaków, szum wody i miły aromat łąkowych roślin wpłynął kojąco na jej nerwy. Nagle usłyszała w pobliżu pisk szczeniaka. Widok był jak z obrazka w dziecinnej książeczce. Puszysty zwierzak gonił wśród różnobarwnych kwiatów za cytrynowym motylem. Zbliżał się przy tym niebezpiecznie do stromego brzegu strumienia.

Jenny zerwała się przestraszona. Dokładnie w tym samym momencie szceniak wykonał salto w powietrzu i z głośnym pluskiem wpadł do wody.

Przez chwilę Jenny stała niezdecydowana na brzegu. Nie umiała pływać. Ciotka Ada uważała, że młode dziewczęta nie powinny pokazywać się półnagie w publicznych miejscach. A ponieważ trudno było nauczyć się

pływać w ubraniu, nigdy nie opanowała tej sztuki. Patrzyła z bijącym sercem na pieska, przebierającego bezradnie łapkami.

Zdobyła się wreszcie na odwagę i ostrożnie weszła do wody. Zrobiła w niej parę kroków, które jednak nie wystarczyły, żeby dosięgnąć szczeniaka. Poszła więc dalej i... straciła grunt pod nogami. W dzikiej panice biła rękami o wodę, ale tylko pogarszała w ten sposób swą sytuację. Po chwili znalazła się cała pod wodą, żeby się zaraz prychając i parszcząc wynurzyć na powierzchnię.

- Niechże pani stanie na nogi! Woda jest w tym miejscu niezbyt głęboka. Sięgnie pani do piersi! - usłyszała z brzegu głos Stevena.

Usłyszała głos, ale nie była w stanie rozróżnić słów. Opanowana śmiertelnym strachem, rzucała się w wodzie jak ryba w sieci. Krzyczała przy tym wniebogłosy i coraz częściej znikła pod wodą.

Nagle poczuła, że jakieś ramię opasuje ją w talii i unosi do góry.

Steve złapał Jenny pod pachę jak jakąś paczkę i kilkoma długimi krokami znalazł się na płyciźnie. Wolną ręką sięgnął po wierzgającego szczeniaka, wyciągnął go z wody i rzucił na brzeg. To samo zrobił za chwilę z Jenny.

Leżała na brzuchu dysząc ciężko. Palcami chwyciła kurczowo wiązkę traw, jakby ją chciała razem z korzeniami wyrwać z ziemi.

- Przygotowała pani piękne widowisko. I to specjalnie dla mnie! Bardzo dziękuję. Jestem wzruszony pani pomysłowością.

Jenny odwróciła głowę z trudem. - Nie umiem pływać - szepnęła.

- Niech pani powie, czy specjalnie wrzuciła pani to bezbronne zwierzę do wody, żeby popisać się przede mną swym dobrym sercem?

Jenny pokręciła głową przecząco, ale nie zdobyła się na słowa wyjaśnienia. Uznała, że nie ma sensu się tłumaczyć, bo Steve i tak wiedział lepiej.

- Mam nadzieję, że dotrze wreszcie do pani, iż nie jest tu pani mile widziana, wręcz niepożądana. Niech się pani spakuje i wyniesie, gdzie pieprz rośnie.

Jenny przewróciła się na bok i usiadła, ciągle jeszcze oszołomiona. Bez makijażu wyglądała jak mała, delikatna dziewczynka.

Przez jedną krótką chwilę Steve doznał czegoś na kształt wzruszenia. Jenny była krucha jak figurka z saskiej porcelany... Zaraz jednak popatrzył na nią z nieukrywaną wrogością, gdyż mokry podkoszulek obciskał jej figurę tak bardzo, jakby nie miała na sobie żadnego ubrania.

- Jak długo zamierza pani u nas siedzieć? - zapytał ostrzej niż zamierzał.

Dzwoniąc zębami zdobyła się na stanowczą, aczkolwiek nieco drżącą odpowiedź: - O tym zadecyduje Chuck.

Steve wykrzywił usta w pogardliwym grymasie, ale na szczęście nic już nie powiedział. Wsunął nogi w buty, które zdjął przed wejściem do strumienia, złapał szczeniaka obwąchującego kretowisko, wsiadł na konia i pojechał, nie obejrzawszy się ani razu za siebie.

Jenny opadła z westchnieniem na trawę. Długo leżała bez ruchu, odpoczywając po szoku, jakiego doznała w wodzie, i po kolejnym niemiłym spotkaniu ze Stevenem.

Do domu wróciła późnym popołudniem, nie zauważona przez nikogo. Wzięła kąpiel, umyła włosy i wysuszyła je, a potem przebrała się w czyste rzeczy i usiadła w fotelu na biegunach z książką w ręku. Był to właściwie bogato ilustrowany album o stanie Wyoming. Zaczęła go przeglądać, ale nie mogła się skupić na żadnej informacji. Jej myśli krążyły cały czas wokół Stevena. Analizowała szczegółowo jego zachowanie, przypominała sobie wyraz jego oczu, kiedy patrzył na nią nad strumieniem, i silny uścisk jego ręki, gdy wyciągał ją z wody. Na litość boską, cóż ja tak stale myślę o tym grubianinie, skarciła samą siebie.

Powieki Jenny stawały się coraz cięższe i cięższe, aż w końcu całkowicie opadły na oczy. Zasnęła wyczerpana niedawnymi wrażeniami.

Kiedy Jenny się obudziła, słońce było już dość nisko, a drzewa rzucały długie cienie na trawę przed domem. Przestraszona spojrzała na zegarek. Uff, tym razem nie spóźni się na kolację. Z jękiem podniosła się z fotela.

- Jak spędziłaś dzisiejszy dzień? - zapytał Chuck przy kolacji.

- Och, byłam na spacerze - odrzekła, unikając wzroku Stevena.

- Niechże pani nie będzie tak skromna. Niech pani opowie Chuckowi o swym bohaterskim wyczynie. Powinien się chyba dowiedzieć, że skoczyła pani na ratunek tonącemu psiakowi, mimo że nie umie pani pływać. Mabel będzie pani wdzięczna do końca życia.

Wszystko by było w porządku, gdyby nie ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa. Cynizm pomieszany z ironią dał piorunującą mieszankę.

- Nie myślałam, że woda będzie aż tak głęboka. - Jenny dumnie uniosła głowę do góry. - Twój kochany braciszek okazał się na tyle uprzejmy, że mnie wyciągnął na brzeg.

- Biedna Jenny! - Chuck uśmiechnął się do niej ze współczuciem.

- Wiesz co? Jutro jest sobota, czyli dzień zabawy i odpoczynku. Może byśmy się gdzieś razem wybrali? Na przykład do miasta?

- Z największą przyjemnością, Chuck. Już się cieszę!

Steve pokiwał głową zadowolony. - Doskonały pomysł. Zadzwoń do Glorii i przyłączymy się do was. We czwórkę zawsze jest weselej.

- Obdarzył Jenny zaskakująco miłym uśmiechem.

Dziewczyna spuściła głowę. Wieczór w towarzystwie Stevena i Glorii nie mógł być udany. Ta para zrobi wszystko, żeby jej dokuczyć.

Chuckowi też propozycja brata nie przypadła do gustu. Zmarszczył czoło, odsunął od siebie talerz i powiedział poirytowany: - Przepraszam cię, Jenny, ale jestem strasznie zmęczony. Miałem dziś ciężki dzień.

- Ja też już idę do siebie - powiedziała Jenny. - Lizać rany - dodała z uśmiechem.

Chuck roześmiał się. - Z godnością i opanowaniem znosisz niepowodzenia, Jenny. To mi się podoba! Zachowujesz się jak prawdziwy kowboj. -

- Odważy się pani wsiąść jutro na konia, Jenny? - spytał Steven.

- Oczywiście. Dlaczego nie? - brzmiała odpowiedź.

- Koni ma już pani pewnie po dziurki w nosie - zauważyła Luiza następnego ranka przy śniadaniu.

- Przeciwnie - Jenny potrząsnęła głową. - Zamierzam się dzisiaj znowu przejechać.

Luiza podniosła brwi zdziwiona. - No, to wesołej zabawy!

Jenny zaś przeklinała w duchu własną ambicję, która nakazała jej walczyć ze słabością ciała. Każdy krok sprawiał jej tak dotkliwy ból, jakby stąpała po tłuczonym szkłe. Mimo to nie zrezygnowała w pół drogi, dotarła do stajni.

Willy siedział na ławce przed budynkiem i zawzięcie pucował siodło z czarnej skóry. Błyszczało już tak bardzo, że mogło nawet oślepić bardziej wrażliwe oczy, ale Willy był zdania, że prawdziwe kowbojskie siodło musi lśnić jak kryształowe lustro. Na widok Jenny zmrużył oczy i uśmiechnął się niepewnie.

- Dzień dobry, Willy - powiedziała dziewczyna swobodnie. - Czy mógłby pan osiodłać dla mnie Foxfire'a?

Willy zmierzył ją od stóp do głów. - Zastanowiła się pani? - zapytał z naciskiem. Jenny kiwnęła głową.

Willy wzruszył ramionami. - Pete! - krzyknął. - Pete! Ze stajni wybiegł młody chłopak o ognistej czuprynie.

- Przyrowadź Foxfire'a i osiodłaj go dla - wskazał głową Jenny - tej pani.

- Już się robi. - Pete uśmiechnął się nieśmiało do Jenny i zniknął. Za niedługą chwilę pojawił się, prowadząc ogromnego gniadosza.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Jenny biorąc uzdę.

- Nie ma za co, psze pani. - Pete zaczerwienił się. - Pomóc pani przy wsiadaniu?

- Dziękuję, chętnie skorzystam. - Jenny z wdzięcznością przyjęła propozycję chłopaka. Ten rudzielec jako jedyny nie miał wobec niej żadnych uprzedzeń.

Pete objął ją za kolano i podsadził do góry. Klapnęła na siodło i natychmiast zapragnęła znaleźć się z powrotem na dole. Siedzenie i uda paliły ją żywym ogniem, a ocieranie się o siodło przypominało męki piekielne. Uważny wzrok Willy'ego sprawił, że wzięła się w garść. Zdobyła się nawet na wymuszony uśmiech.

- Bądź grzeczny, Foxfire! - szepnęła do końskiego ucha, klepiąc jednocześnie szyję gniadosza.

Ogier postawił uszy i zarżał radośnie. Wyglądało to, jakby odpowiadał na prośbę Jenny.

- Źle pani trzyma cugle - powiedział Willy kręcąc głową, niemniej w jego wzroku błysnęło uznanie dla dzielnej postawy dziewczyny.

- Niech pani patrzy, tak trzeba je trzymać.

Willy ustawił się obok i zademonstrował prawidłowy sposób trzymania cugli.

- Dziękuję, Willy. A teraz co mam robić?

- Pierwsza sprawa - stopy. Czubkami mają dotykać boków końskich. Uda należy przycisnąć do siodła, a nie machać nimi w powietrzu, jakby siedziała pani na drewnianym koniku na karuzeli. Po trzecie - siedzieć prosto, ale nie tak, jakby połknęła pani kij od szczotki. Nie przechylać się ani do przodu ani do tyłu, nie kiwać się na boki. Postawa ma być swobodna, ale bez przesady. Cugle-trzymamy spokojnie, nie nazbyt mocno. Kciuki do góry!

Willy odsunął się trochę, żeby ocenić, czy uczennica zastosowała się do jego wskazówek.

- No, teraz wygląda pani jak należy, a nie jak przestraszona wiewiórka.

Na bladej twarzyczce Jenny pojawił się cień uśmiechu. Kiedy jednak Foxfire zakreślił się w miejscu, puściła cugle i nerwowo złapała obiema rękoma za lęk.

- O, nie! Tak nie wolno, psze pani! - potrząsnął głową Willy. - Pani nie może pojechać na tym koniu w teren. Wyprowadzę panią na padok. Tam stopniowo przyzwyczai się pani przede wszystkim do siedzenia na koniu.

Schwycił konia za uzdę i zmusił do posłuszeństwa. - Niech pani trzyma cugle tak, jak panią uczyłem, a pięty przyciska do boków konia. Wtedy nasz gniadosz posłucha pani.

Jenny posłusznie wykonywała polecenia stajennego, ale jakoś zabrakło jej zdecydowania i Foxfire wyczuł to natychmiast. Skręcił w bok, podrzucił łeb do góry i w ogóle jej nie słuchał.

- Proszę zabrać ręce z łęku. Łagodnym naciskiem łydek określa pani kierunek. Jednocześnie ściąga pani wodze. I proszę siedzieć prosto!

Jenny była już mokra od potu, ale dzielnie usiłowała zastosować się do rad Willy'ego. Tak się starała skupić na tym, co robi, że jej zdenerwowanie ulotniło się gdzieś bez śladu. Zaskoczona stwierdziła, że Foxfire zachowywał się jak dobrze wychowany koń. Szedł dokładnie tam, gdzie chciała. I to był pierwszy jeździecki sukces Jenny.

Zrobili kilka rund na padoku i poczuła się znacznie pewniej w siodle. Ośmieliła się do tego stopnia, że zdobyła się na oderwanie wzroku od końskich kopyt i na rozejrzenie się dokoła. W tym samym momencie zamarła. Za ogrodzeniem padoku obserwował ją z grzbietu karego ogiera nie kto inny, jak Steven. Jego ironiczny uśmiech zbił Jenny z tropu. Ściągnęła zbyt mocno wodze, pochyliła się do przodu, a kiedy Foxfire zaczął iść lekkim kłusem, puściła cugle i schwyciła się łęku.

- Luźno! - krzyknął Willy. - Wziąć z powrotem wodze, usiąść prosto.

Zaczerwieniona po uszy Jenny zrobiła, co jej kazano. Ku jej wielkiej uldze Steven oddalił się kłusem od padoku. To dobrze, bo jego obecność bardzo jej przeszkadzała w jeździe.

- Dobra, teraz runda kłusu. Niech pani naciśnie obcasami boki konia, ale niech pani nie robi tego gwałtownie.

Foxfire pokłusował, zanim jeszcze Jenny zdążyła go dotknąć i podskakiwała teraz w siodle jak worek mąki. Pupa bolała ją tak, że mimo woli krzyknęła z bólu.

- Niech się pani dostosuje do rytmu konia. Luźno, swobodnie! Jenny bardzo starała się słuchać Willy'ego, aczkolwiek nie zawsze jej to wychodziło. I, co najdziwniejsze, mimo dotkliwego bólu całego ciała jazda konna zaczęła jej sprawiać przyjemność. Mogła już sobie wyobrazić to cudowne uczucie, gdy na koniu przemierza się łąki i pola.

- Okay, starczy na dzisiaj, psze pani - powiedział Willy. - Niech pani ściągnie wodze. Równomiernie! I proszę nie ruszać nogami!

Foxfire przeszedł w stępa, a przy furtce zatrzymał się. Zastrzygł uszami i spojrzał na stajennego, najwyraźniej w oczekiwaniu pochwały.

Zanim to jednak nastąpiło, Willy poinstruował Jenny bardzo dokładnie, jak zsiada się z konia. Ta trudna sztuka udała się dziewczynie za pierwszym razem.

- Uff! Dziękuję, Willy! - Jenny uśmiechnęła się do niego serdecznie. - Okazał mi pan dużo cierpliwości.

- Musi się pani jeszcze bardzo dużo nauczyć. - Willy był trochę zakłopotany i, żeby to ukryć, poklepał konia po szyi. - Dzielnie się spisałeś, Foxfire, stary draniu - mruknął.

Jenny patrzyła, jak odprowadza konia do stajni, i nagle ogarnęło ją przeświadczenie, że zdała jakiś bardzo ważny test.

Obiad upłynął w bardzo sympatycznej atmosferze, pewnie dlatego, że nie uczestniczył w nim Steven. Jenny mogła spokojnie opowiedzieć Chuckowi, jak jej idzie nauka jazdy konnej.

- Cieszę się, że się nie nudzisz, dziewczynko. Pamiętaj, że dziś wieczorem rzucamy się w wir miastowych rozrywek.

- Dzisiaj? Ojej, kompletnie o tym zapomniałam!

- Bolą cię jeszcze mięśnie?

- Ani trochę. Czuję się tylko tak, jakby mnie przepuszczono przez maszynkę do mięsa.

- W takiej sytuacji jedynym lekarstwem jest taniec.

- Dobrze ci mówić. Urodziłeś się niemal w siodle i nie wiesz, co czuje początkująca amazonka. Nie wiesz, bo nigdy nie odczuwałeś tego bólu.

- Okay, okay, wierzę ci. - Chuck podniósł ręce do góry. - Nie strzelaj, poddaję się. - Spojrzał uważnie na Jenny. - Zmieniłaś się. Nie jesteś już tą nieśmiałą małą myszką, jaką poznałem we Frisco. Stałaś się bardziej pewna siebie. Brawo!

Jenny zamyśliła się. - Ty też jesteś inny, Chuck. - Chciała powiedzieć, że stał się dojrzały, ale nie chciała go obrazić.

Chuck sam zresztą zdawał sobie z tego sprawę. - Tak, Jenny, myślę, że dorosłem.

Rozdział 5

- Ohoho! - Chuck zerwał się z fotela i okrążył Jenny. - Wyglądasz ekstra! Przyjemnie się z tobą pokazać! Inni mężczyźni będą sobie wykręcać za tobą szyje. - Wycisnął głośny pocałunek na policzku dziewczyny.

Jenny roześmiała się, zadowolona z komplementu. - Ale ty też się doskonale prezentujesz, Chuck. Taki strój jak z westernu świetnie do ciebie pasuje. Myślę, że w garniturze czułbyś się nieswojo.

- Otóż to, otóż to, łaskawa pani! - zachichotał Chuck. Jenny nie pozostała w tyle i śmiali się jak para dzieciaków, aż echo niosło.

- Posłuchaj, Jenny, mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, że najpierw sami coś zjemy, a dopiero potem spotkamy się z Glorią i Stevenem. Nie wiem zupełnie, co on widzi w tej farbowanej damulce. Ja jej zupełnie nie trawię. No, ale cóż - wzruszył ramionami - to nie moja sprawa, tylko mojego brata. Ostatnio bardzo się zmienił, nie rozmawiamy ze sobą tak szczerze, jak kiedyś. - Chuck posmutniał nagle. Widać było, że nagły chłód brata nie jest mu obojętny.

- Och, Chuck, tak mi przykro... - Jenny chciała go jakoś pocieszyć, ale w gruncie rzeczy wiedziała aż nadto dobrze, że to ona jest przyczyną niesnasek między braćmi. Gdyby tu nie przyjechała, braterska komitywa trwałaby nadal.

- Dość tego! - Chuck powziął postanowienie, że nie będzie sobie i Jenny zatruwał życia kłopotami ze Stevenem. - Posłuchaj: zabiorę cię do restauracji, gdzie serwują najlepsze żeberka na Dzikim Zachodzie.

- No, to szybko, bo już mi ślinka cieknie. Głodna jestem jak wilk.

- Poczekaj tu, na werandzie. Podjadę po ciebie samochodem. Widziałem na filmach, że tak się robi.

Jenny patrzyła z uśmiechem na zakurzonego czerwonego forda sedana z Chuckiem za kierownicą. Miał już na głowie swój nieodzowny kapelusz - stetsona.

Zahamował z piskiem opon, wyskoczył błyskawicznie z samochodu, okrążył go i z głębokim ukłonem otworzył Jenny drugie drzwi. - Służę uprzejmie, łaskawa pani.

Jenny wsiadła do samochodu w sposób, jaki podpatrzyła na filmach. Tym samym dostosowała się do konwencji, jaką zaproponował Chuck. Czowała się świetnie. Mięśnie nie bolały jej już tak bardzo, jak przed południem, humor dopisywał i z przyjemnością myślała o tańcach.

Do Jackson nie było daleko. Już po trzech kwadransach miasto ukazało się w powodzi świateł. Przejechali całe śródmieście i dotarli na koniec Jackson, gdzie była ta restauracja z żeberkami.

Posiłek był rzeczywiście na najwyższym poziomie, zresztą głodnej Jenny smakowałyby i chleb ze smalcem.

- Dzięki, Chuck, to rzeczywiście pycha! Po kolacji wrócili do miasta.

- O, rany, za żadne skarby nie znajdziemy tu miejsca do zaparkowania - zauważyła Jenny, widząc tłum samochodów przed lokalem, do którego mieli teraz pójść.

- Nie martw się, dziewczynko Jenny - powiedział Chuck spokojnie, skręcając w wąską alejkę.

- Zarezerwowane - przeczytała Jenny napis na słupie.

- Tak. Zarezerwowane dla Feltonów i ich gości. - Chuck roześmiał się głośno na widok osłupiałej miny Jenny. - W lecie tak trudno o miejsce do parkowania, że postanowiliśmy je sobie po prostu wynająć. Mamy tu dwa miejsca.

Na sąsiednie miejsce zajechał bezgłośnie szykowny biały jaguar.

- Wózek Glorii - mruknął Chuck z niechęcią. Wolał ten wieczór spędzić z Jenny, towarzystwo wielkiej damy z Nowego Jorku było mu nie w smak.

Steven wysiadł z jaguara i krzyknął do nich na powitanie. Wyglądał tak superprzystojnie, że serce Jenny zabiło żywiej. Stalowszary garnitur uzupełniała śnieżnobiała koszula znakomicie podkreślająca opaleniznę.

Jenny spuściła oczy, żeby nikt nie zauważył wrażenia, jakie zrobił na niej Steven.

Gloria zwinnie jak kotka również wysiadła z samochodu. Jak ona to robiła, że zawsze trafiała w ramiona Stevena, mimo, że on wcale nie miał zamiaru jej obejmować.

- Dziękuję, kochanie - przytuliła się do niego na chwilę.

Jenny poczuła ukłucie w sercu- Niebieska bawełniana sukienka, w której jeszcze tak niedawno bardzo się sobie podobała, wyglądała jak fartuch przy lśniącym kombinezonie Glorii, uszytym z białego mięsistego jedwabiu.

- Halo, Chuckusiu, wyglądasz na co najmniej dwa lata więcej w tym eleganckim stroju! Chcesz chyba wszystkim dziewczynom zawrócić dzisiaj w głowie. - Gloria roześmiała się i zaraz potem zmierzyła wzrokiem Jenny, stojącą nieco z boku. Dziewczyna aż się skuliła pod tym ostrym spojrzeniem.

Czekała na kąśliwą uwagę, która w istocie nastąpiła.

- Jak ona słodko wygląda. Tak dziewczęco i niewinnie.

Steve uśmiechnął się z rozbawieniem, ale Chuck objął swą towarzyszkę ramieniem, jakby chciał ją ochronić przed złośliwym językiem czarnej jędry.

- I dlatego mi się właśnie podoba. Nawet bardzo.

- Chodźmy. - Gloria zignorowała odpowiedź Chucka, złapała Stevena pod ramię i weszli razem, jak zakochana para, do lokalu.

Chuck i Jenny podążyli za nimi. W barze kowbojskim było przede wszystkim bardzo głośno. Muzyka country była wprost ogłuszająca. Jenny bardzo lubiła ten rodzaj muzyki, ale tu przesadzono z natężeniem decybeli. Zadymione, ciemne pomieszczenie nie wywarło na niej najlepszego wrażenia. W barze było poza tym mnóstwo ludzi. Powoli torowali sobie drogę przez tłum do tylnej części lokalu. Posuwali się jednak bardzo wolno, ponieważ stale ich ktoś zaczepiał. Znajomi wołali: - Zobacz, kto przyszedł! albo: - Cześć, chłopaki! Jak leci?

Jenny zauważyła wkrótce subtelny różnicę w sposobie pozdrawiania obu braci. Wesołe okrzyki dotyczyły wyłącznie Chucka, którego mężczyźni jowialnie klepali po ramionach albo dawali kuksańca w bok. Stevena witano również, ale z większym dystansem i szacunkiem.

Steven znalazł wreszcie cztery miejsca przy barze i dawał im znaki ponad tłumem.

Jenny wcale się nie zdziwiła, gdy zamiast normalnych siedzeń ujrzała na stołkach siodła. Był to w końcu bar kowbojski. Tylko że ona była w sukience, a nie w spodniach... - Mają tu może damskie siodła? - spytała Chucka z nadzieją w głosie.

- Nie - roześmiał się Chuck - ale umówmy się, że to jest właśnie damskie siodło. - Objął ją w pasie, drugą ręką schwycił pod kolana i posadził ją bokiem na stołku.

- Dobry wieczór, Steve, jak się masz? Chuck, co podać?

- Białe wino dla pani, a dla mnie piwo. Charlie-Chuck ubiegł brata w składaniu zamówienia.

Steven udał, że nic się nie stało. - My poprosimy brandy i whisky bez lodu.

Barman przyniósł napoje. - Za piękny wieczór! - Chuck przepił piwem do Jenny.

- Za piękny wieczór - powtórzyła i umoczyła usta w kieliszku. Nie była przyzwyczajona do alkoholu. W domu ciotki Ady była to rzecz surowo zabroniona i dopiero niedawno Jenny dowiedziała się, jak smakuje szampan i whisky. Co do szampana dała się przekonać, że to najlepszy trunek świata, ale whisky uznała za coś wyjątkowo wstrętnego. Ten alkohol mógł dla niej nie istnieć. Jenny i tak wołała soki owocowe i ziołowe herbatki.

- Ej, zobaczcie, tam w głębi zwalnia się stolik, akurat na cztery osoby. Pospieszmy się, może nikt nas nie ubiegnie! - zawołał Chuck.

Zaledwie usiedli, zaproponował Jenny: - Wypij szybko, to pójdziemy potańczyć.

- Chuck, ale ja...

- Nie sprzeciwiaj się, mała. Wujaszek doktor wie, co mówi. Dzisiaj znowu siedziałas na koniu, musisz więc się poruszać, bo inaczej trzeba cię będzie zanieść do samochodu, tak zeszywniejesz.

Pociągnął ją za sobą na parkiet. Jenny nigdy nie uczyła się tańczyć jeszcze jedna z zakazanych rozrywek, ale miała wrodzone poczucie rytmu, co pozwoliło jej na całkiem udany początek w tej dziedzinie. Poruszała się zgrabnie, a jej wdzięczna sylwetka przyciągała wzrok wielu mężczyzn obecnych w barze.

Zdyszana i zaczerwieniona wróciła do stolika. Jakaś dziwna siła nakazywała jej szukać wzroku Stevena, dlatego coraz częściej zerknęła na niego. Tak bardzo by chciała wyczytać w tych męskich oczach co innego niż tylko pogardę... Szybko dopiła wino i w tym momencie spojrzenia ich spotkały się. Jenny poczuła się jak sparaliżowana. Takiego uczucia musiał doznawać królik hipnotyzowany przez żmiję, pomyślała przerażona swoją reakcją. Szybko złapała Chucka za rękę.

- Proszę cię... chodźmy zatańczyć - szepnęła.

Chuck zdziwił się, ale czego się już w swoim krótkim życiu zdążył dowiedzieć o kobietach, to tego, że są zmienne, więc uśmiechnął się tylko.

- Jak najchętniej, mała! - Podniósł się i poprowadził Jenny na parkiet. Tam zaś stanął jak wryty. Uśmiech zniknął z jego twarzy, zaczerwienił się po korzonki włosów, a wzrok utkwiał w ślicznej dziewczynie o jasnych kędzierzawych włosach i piwnych oczach. Trzymał ją w objęciach barczysty kowboj. Ona też dostrzegła Chucka i skinęła mu głową, potem zaś tańczyła dalej, przytulając się coraz mocniej do przystojnego osiłka.

- Ta śliczna dziewczyna jest twoją znajomą?

- Aha. Przyjaźniliśmy się kiedyś - odparł Chuck lakonicznie. Objął Jenny w talii i zaczęli tańczyć.

- Cześć, kowboju! - usłyszał dobrze znany głos. Drgnął i odwrócił się gwałtownie. - Cześć, Myszko Miki - powiedział sztywno. Puścił Jenny i przestępował z nogi na nogę. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić z rękami. - Myślałem, że na całe lato wyjechałaś do Europy - wykrztusił i przywitał się z młodym człowiekiem, który stał obok.

- Witaj, Al.

- Europa, Europa... tak, właściwie chciałam tam zostać dłużej, ale zatęskniłam za... mym koniem. - Oczy dziewczyny rozbliły ledwie skrywanym gniewem. - Widzę, że dobrze wykorzystałeś ten czas. Masz towarzystwo, więc nie nudziłeś się.

- Ja... aha, tak... Helena Albers - Jenny Vandeen. Jenny spędza u nas wakacje.

Jenny uśmiechnęła się. - Dzień dobry.

Helena nie powiedziała nic, kiwnęła tylko sztywno głową, co zapewne miało wystarczyć za powitanie.

- A mnie nie przedstawisz, Chuck? - upomniał się o swoje prawa blondyn.

- Och, przepraszam. Al Lewis - Jenny Vandeen.

- Miło mi cię poznać, Jenny. - Al patrzył na nią z zachwytem. Przypadła mu bardzo do gustu.

- Mnie też jest miło - odrzekła Jenny, która niewiele wprawdzie zrozumiała z, tej sceny, intuicyjnie jednak wyczuwała, że narzeczona Chucka dąsa się na niego.

- Tańczmy, Al. - Helena demonstracyjnie objęła Ala za szyję. - Wesolej zabawy.

- W przyszłym tygodniu znów tu przyjedziemy. Fajnie by było, -gdybyśmy się spotkali. - Al znacząco popatrzył na Jenny.

- Być może wpadniemy - powiedział Chuck bez entuzjazmu. Wziął Jenny za rękę i wrócił z nią do stolika. Stevena i Glorii przy nim nie było, pewnie też poszli zatańczyć.. Chuck usiadł, a właściwie klapnął jakoś tak żałośnie na krzesło. Ze spuszczoną głową obracał w rękę szklanekę z piwem.

- Chuck, czy Helena jest twoją dziewczyną?

- Jeszcze do dzisiejszego wieczoru tak myślałem - spojrzał na Jenny smutnymi oczami. - Jenny, nie zrozum mnie źle, ale... ty i ja... no, wiesz sama... my...

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - wyręczyła go. - Oczywiście, że tak, Chuck, nigdy nie myślałam o tobie w innych kategoriach. Wiesz co? Postaram się złapać Helenę i wyjaśnić jej całe to nieporozumienie, chcesz? - zaproponowała.

- Jesteś skarbem, Jenny! - uśmiechnął się Chuck, wyraźnie zadowolony, że to nie on będzie się musiał tłumaczyć przed Heleną. - Chodźmy więc jej poszukać. Na pewno są z Alem na parkiecie.

Niestety, usilne poszukiwania Heleny i Ala nie przyniosły żadnych rezultatów. - Pewnie już się zmyli - orzekł Chuck zasmucony.

- Odprowadzę cię do stolika, a sam zorganizuję jakieś drinki. Strasznie tu duszno i pić się chce.

- I jak się pani bawi, Jenny? - spytał Steven.

- Całkiem dobrze - odpowiedziała, żałując, że nie może pohamować drżenia głosu.

- Pójdę upudrować nos. - Gloria wstała od stolika. - Idzie pani ze mną, Jenny?

Jenny pokręciła głową odmownie. Bardziej obawiała się fałszywej serdeczności Glorii niż otwartej nienawiści Stevena. Wiedziała mniej więcej, czego może się po nim spodziewać, a Gloria wydawała jej się podstępna i nieobliczalna.

- Niech ci się nie dłuży czas beze mnie, kochanie - szepnęła Gloria słodkim jak miód głosem. Rzuciła jeszcze ostrzegawcze spojrzenie Jenny i oddaliła się.

Steve zapiął guziki marynarki i wstał. O, Boże, pewnie zaraz poprosi mnie do tańca, pomyślała Jenny w panice. Wymamrotała coś o toalecie i uciekła.

Gloria stała przed lustrem poprawiając makijaż. Właśnie malowała usta na krwistoczerwony kolor. Zwężała oczy jak dzika kotka, gdy zobaczyła Jenny.

Powoli podeszła do niej.

- Steve opowiedział mi o pani wyczynie nad strumieniem - zaczęła zjadliwym głosem. - A więc taki sposób uwodzenia pani wybrała! Biedna dziewczyno, nie wiesz, ile panienek przed tobą próbowało go już usidlić. On zna te wszystkie sztuczki, możesz być tego pewna.

Jenny wyjęła z torebki grzebień i bez słowa zaczęła się czesać. Steve i Gloria wyśmiewali się z niej. Podli! Poczwała, że gorące łzy palą ją pod powiekami. - Niczego przed nim nie udawałam! - krzyknęła prawie.

- Naprawdę? Nie denerwuj się tak, dziecinko. Posłuchaj, dam ci dobrą radę: wracaj czym prędzej tam, skąd przyjechałaś! Steve ma już po dziurki w nosie kłopotów z tobą i Chuckiem.

Do toalety weszły właśnie dwie rozchichotane nastolatki, przez co Jenny zyskała czas na przemyślenie odpowiedzi. Wiedziała, że absolutnie nie może wdać się w potyczkę słowną z Gloria, bo ją przegra, a tamta będzie triumfować.

Zdała się na swój kobiecy instynkt. - A ja myślę, że to pani ma mnie po dziurki w nosie, nikt inny.

- Ach, ty wstrętne dziewczucho! - wrzasnęła Gloria piskliwym głosem. - Zapamiętaj sobie raz na zawsze: Steve jest mój! Wara ci od niego! - Tupnęła jeszcze nogą, chcąc widać podkreślić wagę swych słów, i wyszła.

Jenny oparła się o ścianę i westchnęła głęboko. Kolana jej drżały tak mocno, że ledwie trzymała się na nogach.

- Czy pani źle się czuje? - spytała jakaś młoda dziewczyna.

- Nie, nie, to tylko chwilowe osłabienie - uśmiechnęła się blado. - Zaraz mi przejdzie.

Odetchnęła jeszcze kilka razy i z podniesioną głową wróciła do stolika.

- Zatańczymy, Chuck?

Chłopak rozejrzał się najpierw ostrożnie, czy Helena na pewno już poszła, po czym ruszył na parkiet.

Orkiestra zagrała ostry kawałek o szybkim rytmie. Jenny bezradnie popatrzyła na Chucka, który zaczął ją okręzać i klaskać w dłonie. Zerknęła w bok na inne dziewczyny i zdecydowała pójść w ich ślady. Miarowo ruszała biodrami, a stopami wybijała takt.

- Yeah! - krzyknął Chuck dziko i przyspieszył tempo. Jenny musiała się do niego dostosować.

W pewnej chwili podniosła głowę i spotkała wzrok Stevena. Skrzyżował ręce na piersiach i zimnym, pogardliwym spojrzeniem mierzył roztańczoną dziewczynę.

Jenny natychmiast pomyliła krok, jakżeby inaczej, tańczyła jednak nadal. Postanowiła, że nikt, ani Gloria, ani Steven nie zepsuje jej tego wieczoru.

Kiedy po jakimś czasie wrócili z Chuckiem do stolika, nie zastali już przy nim nikogo.

Co takiego było w tym Stevenie, że ciągle o nim myślała? Jenny przewracała się w ciemnościach z boku na bok. Kilka razy wydawało jej się, że jest zakochana, raz w napastniku drużyny futbolowej jeszcze w szkole, raz w miłym koledze z biura, a raz w bracie koleżanki. Tamte uczucia były jednak niczym w porównaniu z burzą emocjonalną, która ją ogarnęła już przy pierwszym spotkaniu ze Stevenem.

Tak, Steven uosabiał bohatera, i to bohatera niemal doskonałego, którego obraz od lat nosiła w sercu. Przystojny, supermęski, odważny.

Niezrozumiałe, dlaczego obraz ten uległ zniekształceniu, gdy rzekomy ideał pokazał wszystkie swoje wady - grubiaństwo, lodowaty chłód, bezlitosną nienawiść, brak subtelności. Dlaczego nadal się nim interesowała? Nie było to chyba w pełni normalne.

Jenny zamknęła oczy. Nie umiała sobie logicznie wytłumaczyć, co tak bardzo pociąga ją w tym facecie. Przecież na dobrą sprawę jego zachowanie uwłaczało jej godności, abstrahując od tego, czy wynikało z zazdrości o brata czy nie. A mimo to stale o nim myślała...

Rozdział 6

Następnego ranka Jenny obudziła się około dziesiątej kompletnie rozbita. W głowie jej łomotało i bolały ją wszystkie kości. Podeszła do okna, za którym panowała niedzielna cisza. Budynki gospodarcze wyglądały jak wymarłe, konie zaś spokojnie pasły się na pastwiskach.

Jenny przeciągnęła się. Nie spiesząc się poszła pod prysznic, umyła się dokładnie, wysuszyła włosy i zafundowała sobie delikatny makijaż dla poprawienia humoru.

Posłała łóżko i wysprzątała dokładnie pokój. Specjalnie zwlekała z pójściem do jadalni, ponieważ nie miała ochoty spotkać tam Stevena. Liczyła na to, że on będzie już po śniadaniu, że przynajmniej raz nie zepsuje jej apetytu.

Usiadła na swoim miejscu i już chciała głośno podziękować Opatrzności za to, że uchroniła ją od spotkania ze Stevenem, gdy nagle usłyszała za sobą jego głos:

- Dzień dobry, panno Vandeen, wyspała się pani?

Jenny drgnęła. Była przekonana, że jest sama. W ogóle nie dostrzegła Stevena siedzącego w rogu przy oknie.

- Dzień dobry - powiedziała przestraszona.

Steve uśmiechnął się. - Proszę się częstować. Śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia.

Jenny nalala sobie kawy i sięgnęła po maślaną bułeczkę.

- Chce pani może część gazety? - zaproponował.

Jenny oniemiała. Nie umiała sobie wytłumaczyć tej nagłej uprzejmości Stevena.

- Tak, poproszę - powiedziała po chwili. - Jeśli przeczytał już pan dział reportażu, to i ja chętnie rzucę na niego okiem.

Podał jej kilka stron, którymi się skwapliwie odgradziła od jego zbyt natarczywego wzroku.

- Jak tam mięśnie? Ciągle jeszcze dokuczają?

- Dziękuję, już jest znacznie lepiej - odparła spokojnie, ale w środku wszystko się w niej gotowało. Gdzie, u diabła, był Chuck? Żałowała, że go nie ma, ponieważ sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna.

W drzwiach kuchni pojawiła się Luiza.

- Zadzwoiłam do córki, Steve - powiedziała przygnębionym głosem. - Będzie jednak musiała poddać się operacji. Muszę na kilka dni pojechać do niej, zająć się dziećmi - miała nerwowo fartuch.

- Ależ, oczywiście, Luizo, jedź. Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie. - Luiza pokręciła głową. - Pieczeń na dzisiejszy obiad jest już w piecyku. Poczekam, aż będzie gotowa, i dopiero wtedy pojedę.

Jenny odłożyła gazetę. - Zajmę się tą pieczeniem, Luizo.

Gospodyni zmarszczyła brwi. - Jak to miło z pani strony - powiedziała, ale widać było, że uprzejmość Jenny jest jej nie w smak.

Steven wstał i uściskał starszą panią. - Zostań u córki, ile chcesz, Luizo. Po operacji będzie na pewno jeszcze przez jakiś czas słaba i pomoc matki będzie dla niej nieoceniona. A my tu sobie też poradzimy. Mamy przecież Jenny.

- Przynajmniej się na coś przydam - ucieszyła się szczerze dziewczyna. - A gotować naprawdę potrafię. Jest to jedna z niewielu umiejętności, które opanowałam w stopniu, można powiedzieć, perfekcyjnym.

Reakcją na te słowa był ujmujący uśmiech Stevena, który trafił ją prosto w serce.

- Pójdę się wobec tego spakować - oznajmiła Luiza.

- Chce pani doczytać gazetę do końca? - spytał Steve, gdy drzwi za Luizą zamknęły się.

- Och... tak... dziękuję.

I tak siedzieli sobie milcząc, pijąc kawę i wertując gazetę. Jak stare, dobre małżeństwo, przemknęło Jenny przez myśl. Uśmiechnęła się pod nosem. Życie z takim tyranem otwierało chyba automatycznie bramy do raju.

- Poproszę panią do kuchni. - W drzwiach znowu ukazała się Luiza. - Czy umie pani przyrządzić porządny sos? Moi chłopcy lubią pieczeń w gęstym zawiesistym sosie.

- Okay, dostaną to, co lubią, proszę mi tylko pokazać, gdzie trzyma pani przyprawy.

Gospodyni pokazała Jenny wszystko co trzeba, udzieliła jej mnóstwa rad i napomniwała, żeby nie przypaliła pieczeni.

- Pojadę już. Dziękuję panu, Steve, za pańską wspaniałomyślność. Do widzenia.

- Do widzenia, Luizo. Pozdrów córkę od nas i życz jej szybkiego powrotu do zdrowia.

- Panno Vandeen - zwrócił się zaraz potem do dziewczyny. - Mam wrażenie, że nie obejrzała pani nawet drobnego ułamka naszej posiadłości. Może po obiedzie wybralibyśmy się razem na konną przejażdżkę?

- Och, dziękuję... ale... mam kilka spraw do załatwienia. - Jenny przeraziła się nieoczekiwanego sam na sam ze Stevenem. Wymówka zabrzmiała mało wiarygodnie, ale nie umiała tak na poczekaniu wymyślić niczego innego.

- Chyba nie są to jakieś pilne sprawy - Steven zawiesił głos. - Może mogłyby poczekać godzinę lub dwie?

- Tak... nie... nie wiem...

- Pojadę teraz do miasta, ale przy obiedzie, dotrzymam pani towarzystwa.

- Czy Chuck będzie na obiedzie?

Steven pokręcił głową. - Zdaje się, że nie. Musi... załatwić kilka spraw. - W jego głosie zabrzmiała zastanawiająca nutka zadowolenia.

Hmm, co to miało znaczyć? Jakie to sprawy załatwia Chuck? Wzruszyła ramionami patrząc za oddalającym się Stevenem, po czym włożyła fartuch i wzięła się do roboty.

- Gratulacje. Dorównała pani kulinarnym umiejętnościom Luizy, a może nawet je przewyższyła. Pieczeń jest po prostu idealna, knichutka, ale nie wysuszona, odpowiednio przyprawiona - stwierdził ze znawstwem Steve.

Jenny nie kryła zadowolenia z komplementu. Przynajmniej mogła się czymś wykazać.

- Dziękuję za to, że docenił pan moje wysiłki. Staralam się wynagrodzić panu brak Luizy. Kiedy... wyruszamy?

- Kiedy tylko da pani sygnał. - Steven uśmiechnął się do niej niemal z czułością.

Serce Jenny zabiło żywiej. - Dobrze, posprzątam tylko po obiedzie i już jestem gotowa.

- Cudownie. Będę czekał na panią przy stajniach.

Jenny błyskawicznie pozmywała, wytarła naczynia, schowała je do kredensu, przetrzała kuchenkę, a resztę pieczeni zapakowała w folię i schowała do lodówki.

W swoim pokoju przebrała się w strój bardziej odpowiedni do jazdy konnej, to znaczy w dżinsy i kraciastą koszulę.

Steve stał oparty o płot przy stajni, do którego uwiązał swego ognistego ogiera.

Dla Jenny osiodłał naturalnie Foxfire'a. - Niech pani tu podejdzie - zawołał do dziewczyny. - Odwiązał Foxfire'a i przytrzymał go za uzdę, zanim Jenny nie znalazła się w siodle.

Dopiero potem sam dosiadł swego konia. Ruszyli stępą w kierunku lasu. Swobodnie, luźno, prosto, napominała się Jenny. Tym razem nie skompromituje się przed Stevenem. Pokaże mu, że potrafi już utrzymać się na grzbiecie końskim.

Foxfire trzymał się boku czarnego ogiera i Jenny nie musiała prawie wcale nim kierować.

Zjechali z drogi, przejechali małym mostkiem przerzuconym nad strumieniem i ledwie dostrzegalną ścieżką ruszyli przez ukwiecone, pachnące łąki. Powietrze było czyste, widoczność znakomita, a błękitu nieba nie zakłócał żaden, najmniejszy nawet obłoczek.

Steven dotknął ramienia Jenny. Bez słowa pokazał jej skraj lasu. Stała tam w blasku słońca przepiękna sarna. Piła wodę ze strumienia, który właśnie w tym miejscu zakręcał, odbijając od lasu na łąki. Zwierzę podniosło głowę, zwierzyło widać niebezpieczeństwo. Chwilę trwało bez ruchu, patrząc na jeźdźców swymi wielkimi aksamitnymi oczami, po czym nagłym susem przeskoczyło strumień i pogalopowało do lasu.

Steve skierował swego konia między sosny. Jenny na swoim podążyła za nimi. Po kilku minutach dotarli na zaciszną okrągłą polanę, na której strumień czy też jego odnoga utworzyła coś w rodzaju stawu.

- Należy nam się chyba chwila odpoczynku - oznajmił Steven i nie pytając Jenny o zdanie zeskoczył z konia. Potem odwrócił się do Jenny. - Proszę podnieść nogi ponad szyję konia i skoczyć - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Jenny posłuchała go, czując się przy tym jak marionetka. Spadła prosto w ramiona Stevena, który powoli postawił ją na miękkiej trawie.

- Dziękuję - szepnęła bez tchu, bo serce jej waliło jak młotem.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zażartował Steve, ale wcale nie wypuszczał jej z objęć. Poczula, że dłonie mężczyzny obejmują jej piersi, a kciuki drażnią brodawki. Jęknęła mimo woli.

Steve uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony. Wiedział, jak pieścić kobiety... Pociągnął Jenny ze sobą na trawę. Rozpostarł jej włosy na zielonym dywanie i zanurzył w nich twarz. - Ach, jak cudownie pachną! - zawołał z zachwytem. Potem wziął twarz Jenny w dłonie i zbliżył wargi do jej ust. Spojrzał głęboko w jej oczy, które, zazwyczaj niebieskie, w tej chwili były aż granatowe.

Jenny była tak podniecona bliskością tego mężczyzny, który robił z nią, co chciał, że machinalnie zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

A wtedy on schwycił ją za nadgarstki i mocno potrząsnął. Wstał gwałtownie.

- Pora na nas - powiedział zmienionym głosem. Podał Jenny rękę, żeby łatwiej jej było wstać z trawy.

Biedna Jenny zupełnie nie rozumiała, co mu się stało. Nie zrobiła przecież nic złego. Sam zaczął ją pieścić, a kiedy ona wyszła mu naprzeciw, rozgniewał się. Teraz zaś przybrał ten swój zwykły kamienny wyraz twarzy i

w niczym nie przypominał mężczyzny, który jeszcze przed chwilą czule ją pieścił i całował.

- Przepraszam, Jenny, zapomniałem się - powiedział, nie patrząc na nią.

Dziewczyna zarumieniła się ze wstydu. Dopiero teraz pojęła, o co mu naprawdę chodziło. Steven chciał rozdzielić ją i Chucka i w tym celu uciekał się do tak nikczemnych sposobów. Uwiedzenie jej wykalkulował sobie na zimno. A ona, głupia gąska, wpadła naturalnie w pułapkę. Steven teraz zacierał ręce, ciesząc się z łatwej zdobyczy, a przede wszystkim z tego, że uda mu się przeprowadzić ten chytry plan. Jenny zacisnęła usta.

- Ja chyba też. To się już nie powtórzy - odparła lodowatym tonem.

Odwróciła się na pięcie i poszła do koni.

RS

Rozdział 7

- Dziękuję za mile towarzystwo - nie omieszkała powiedzieć Jenny zsiadłszy z konia. Poradziła sobie sama, nie chciała korzystać z pomocy Stevena.

- Nie ma za co, panno Vandeen. Było naprawdę bardzo przyjemnie.

- Popołudnie z panem było dla mnie nader pouczające - oznajmiła Jenny kąśliwie.

Steve zrobił zdziwioną minę, ale nic nie powiedział.

- O której życzy pan sobie kolację?

- O wpół do ósmej, jeśli pani taka miła - powiedział uprzejmie.

- Halo, Jenny, gdzie się podziewałaś? Skąd wracasz?

- Byłam na przejażdżce ze Stevenem.

- Popatrz, popatrz, czyżby mój braciszek znormalniał? - ucieszył się Chuck.

- A powiedz mi, może wiesz, co się stało z Luizą? Szukałem jej wszędzie i nic.

- Pojechała na kilka dni do córki, która ma być operowana. Chce zająć się wnukami i doglądać gospodarstwa, a później pielęgnować córkę. Ja ją zastępuję - powiedziała z dumą.

- Ojej, co za dzień! Aż roi się od niespodzianek! - Chuck złapał Jenny w pasie i zakręcił się z nią kilka razy, tańcząc wyimaginowanego walca. - A czy ty wiesz, gdzie ja dzisiaj byłem? U Heleny!

- I co? - spytała Jenny z napięciem, mimo że radosna twarz Chucka była najlepszym świadectwem pomyślnego zakończenia sporu.

- Wszy-stko w po-rząd-ku! - zaśpiewał Chuck w rytmie walca. -

Wyjaśniliśmy sobie wszystkie nieporozumienia i jest już tak, jak dawniej.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę! - Jenny impulsywnie ucałowała Chucka w oba policzki.

- Nie możecie zaczekać z tym do wieczora? - Naganę w głosie Stevena trudno było przeoczyć.

Dziewczyna drgnęła przestraszona, ale na szczęście w tym czasie rozległ się za nimi dźwięk klaksonu. Biały jaguar Glorii zatrzymał się tuż za plecami Stevena.

- Dzień dobry, kochanie! - słodkiemu głosikowi towarzyszył uwodzicielski uśmiech.

- Gloria! Co za miła niespodzianka! - Steven pospieszył otworzyć jej drzwi.

- Czy mógłbyś troszkę wyraźniej okazać swój zachwyt? Wysiadła z samochodu i wężowym ruchem wtuliła się w ramiona Stevena.

- Z największą przyjemnością. - Steven powitał Glorię długim pocałunkiem.

Jenny spociała się ze zdenerwowania. Stali zaledwie kilka kroków od nich i bezwstydnie całowali się na ich oczach! Miała ochotę podejść do nich i rozerwać ich siłą, a Glorię dodatkowo spoliczkować za tę jej nachalność wobec Stevena. Jenny nigdy nie myślała, że ma tak wybuchową naturę. Wychowanie ciotki Ady polegało również na tłumieniu uczuć. Uważała, że panienska z dobrego domu musi umieć zapanować nad swymi emocjonalnymi reakcjami. Tym razem zazdrość o Stevena była tak silna, że Jenny schwyciła Chucka za rękę, tak jak tonący.

- Co chciałbyś zjeść na kolację? - spytała, jakby nie interesowało jej w tej chwili nic innego. Niemniej pytanie wypadło dość naturalnie. Było też zupełnie na miejscu.

Chuck wzruszył ramionami. - Och, cokolwiek. Wybór pozostawiam tobie. Rozejrzyj się, czym dysponujemy, i zrób coś pysznego.

- Szukałam cię, kochanie, ale nie udało mi się odnaleźć mojej zguby - zauważyła Gloria. - Gdzie ty się podziewałeś?

- Steve i ja pojechaliśmy do lasu - uprzedziła Stevena Jenny.

- Pokazał mi mnóstwo fascynujących rzeczy - spojrzała rozmarzona na starszego Feltona. - Och, Steve, teraz sobie przypomniałam, że zostawiłam tam swój kapelusz, wie pan gdzie, tam pod drzewem... Czy mógłby mi go pan przy okazji przywieźć?

Steve patrzył zdezorientowany na Jenny, potem zerknął na brata, a na koniec omiół spojrzeniem Glorię. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

Gloria natomiast miała zamiast oczu dwa sztylety, którymi najchętniej przebiłaby dziewczynę na wylot.

Chuck zmarszczył tylko brwi i uśmiechnął się pod nosem.

Jenny wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą do domu. Miała powiedzieć: Chodź, zabawisz mnie rozmową, gdy będę przygotowywać kolację, a wyszło jej coś zupełnie innego: - Chodź, zabawisz mnie rozmową, gdy będę brać prysznic.

Usłyszała, jak Gloria głęboko wciąga powietrze. Dopiero teraz uświadomiła sobie, co naprawdę powiedziała. Ha, trudno, i tak uchodziła w ich oczach za rozwiązłą, więc nie będzie się przejmować tym przejęzyczeniem.

- Oddałaś strzał z biodra! - zachichotał Chuck, gdy znaleźli się już w domu.
- Glorię po prostu zamurowało. Hihhi!

- Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło, Chuck - próbowała się usprawiedliwić Jenny.

- Co tam, Jenny, bardzo dobrze, że im wycięłaś taki numer. Od dawna im się to już należało. A stary Steven? Ale miał głupią minę!

- Poklepał Jenny po ramieniu i poszedł do swojego pokoju. Jenny natomiast wcale nie była z siebie zadowolona. Pod prysznicem rozplakała się. Był to wyraz rozczarowania, jakiego doznała w związku ze Stevenem. W lesie był tak naturalny, tak czuły, że aż trudno jej było uwierzyć, że udawał. A jednak niedługo po incydencie z Jenny całował inną kobietę i nie widać było po nim specjalnego obrzydzenia.

A może ciotka Ada miała rację? Może wszyscy mężczyźni są zepsuci i źli?

- Kolacja! - zawołała Jenny waląc w gong.

Chuck wszedł natychmiast do jadalni, jakby czekał pod drzwiami.

- Hmm - chrząknął siadając do stołu. - Co my tu mamy? Pachnie pysznie! Wygląda też smakowicie. Co ta piękna kuchareczka nam dzisiaj uwarzyła?

- To jest zapiekanka z resztek pieczeni. U nas w domu nic się nie mogło zmarnować i ciotka wykorzystywała właśnie w ten sposób resztki niedzielnej pieczeni. Zobaczymy, czy będzie ci smakowała.

Do jadalni wszedł teraz Steven. Skinął lekko głową Chuckowi i Jenny i zwrócił się do brata z pytaniem: - Weźmiesz udział w rodeo w następny weekend?

- Nie. Nie mam ochoty.

- Nie ryzykujesz, że ci zabiorą licencję?

- No to co? - Chuck wzruszył ramionami. - Trudno. Pora już, żebym się ustatkował. W pewnym wieku życie wagabundy przestaje być zabawne. - Mrugnął do Jenny porozumiewawczo. - Tak, tak, braciszku, dzikie lata mam już za sobą. Chcę założyć rodzinę.

Jenny uśmiechnęła się. A więc Helena i Chuck dogadali się do tego stopnia, że chcą się pobrać. Chuck zasłużył na to, żeby być szczęśliwym. Steven obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

- Kiedy zaczniemy sianokosy? - Chuck zmienił temat.

- Jeśli pogoda się utrzyma, jeszcze w tym tygodniu.

- Aha, chciałem ci jeszcze powiedzieć, że zamierzam kupić nowego ogiera. Naszej hodowli przyda się zastrzyk świeżej krwi. Myślę, że...

- O tym porozmawiamy może w cztery oczy w moim biurze - uciał Steve.

Chuck wzruszył ramionami. - Jak uważasz. - Nie podobało mu się, że brat go ustawia.

Steven też zauważył niezadowolenie Chucka. Przez chwilę patrzył na niego z namysłem. Może dotarło do niego wreszcie, że to nie mały chłopczyk, którym się przez całe życie opiekował, a miody mężczyzna o własnych poglądach.

- Jutro nie będzie mnie przez cały dzień, Jenny. Muszę dostarczyć konia do Idaho.

- Mnie też jutro nie będzie, panno Vandeen. W ogóle pomyślałem sobie, że nie możemy wykorzystywać pani dobrego serca. Możemy przecież stołować się w barze szybkiej obsługi u Hanka. To niedaleko stąd. Dziewczynę z miasto to codzienne gotowanie musi przecież nudzić.

- Ależ ja chętnie...

- Właściwie jesteś naszym gościem - uśmiechnął się Chuck - aleja... wolę jadać w domu. U Hanka wszystko ocieka tłuszczem. A ty tak dobrze gotujesz, Jenny...

- Dziękuję za kolację, panno Vandeen. - Steven skłonił się i poszedł do drzwi. Jenny widziała kątem oka, że zatrzymał się i popatrzył na nią. Powodowana jakimś niewytłumaczalnym impulsem, podbiegła do Chucka, objęła go za szyję i pocałowała w usta.

Steve bez słowa wyszedł z jadalni.

- Dlaczego? - Chuck spojrzał na Jenny zaskoczony.

- Żeby Steve miał o czym myśleć - odparła. - Będzie miał ciężki orzech do zgryzienia.

- Wiesz co - powiedział Chuck zamyślony - myślałem, że Steven się poprawi. Nawet się na to zanosilo, ale widzę, że się myliłem.

- Mnie też się tak zdaje - roześmiała się Jenny z goryczą.

- Posłuchaj, rozmówię się z nim. Ten cyrk, który robi z twojego powodu, musi się skończyć. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zachowuje się tak, jakby chciał cię zmusić do wyjazdu stąd. Poza tym denerwuje mnie, że traktuje mnie ciągle jak małego szczeniaka. Tego też już mam dosyć. Słuchaj! - przyszła mu do głowy nagła myśl. - A może on uważa, że chcesz mnie odciągnąć od Heleny? Jak myślisz? Muszę mu to wszystko wyjaśnić. Ale już nie dzisiaj i nie jutro. Pojutrze. Zobaczysz, wszystko się ułoży i już nie będzie ci zatruwał życia.

- Być może jest to jakieś wyjście - zastanowiła się Jenny.

Tego wieczora zasnęła spokojnie. Chuck obudził w niej nową nadzieję.

- Dzień dobry, Willy! - pozdrowiła radośnie stajennego.

- Komu dobry, temu dobry - odburknął Willy.

- O, widzę, że nie należy pan do skowronków - zaśmiała się. - Chciałabym pojeździć.

- Może weźmie pani innego konia. Foxfire nie zawsze jest lekki do prowadzenia. To bardzo grymaśny ogier i wiele zależy od jego nastroju.

- Przeniosę na niego swój dobry nastrój.

- No, jeśli tak się pani chce wykazać, to proszę. Pete!

- Tak. - Rudy chłopak wypadł ze stajni.

- Osiodłaj Foxfire'a. Pani życzy sobie pojeździć na nim.

Pete zaczerwienił się po uszy i w te pędy poleciał po wierzchowca.

Foxfire zachowywał się, wbrew złowieszczym zapowiedziom stajennego, całkiem poprawnie. Reagował na wszystkie impulsy, skręcał tam, gdzie chciała Jenny, a nie on, i w ogóle był sympatyczny.

Odbyli piękny spacer przez łąki brzegiem strumienia, a nawet zdecydowali się zagłębić nieco w las. Dalszej eskapady przez leśne ostępy Jenny, prawdę mówiąc, się bała. Miała jeszcze żywo w pamięci występ Foxfire'a między pniami sosen.

Spokojnie wrócili do stajni. Jenny oddała konia zdziwionemu Willy'emu. - Widzi pan, udzielił mi się mój dobry nastrój, dokładnie tak, jak mówiłam.

Resztę dnia Jenny spędziła na słodkim lenistwie. Łaziła tu i tam, poszła nad strumień, odwiedziła Mabel i jej szczeniaki i czuła się po trosze panią na tym rancho. Było to bardzo przyjemne uczucie.

Wieczorem zjadła w kuchni podwójną kanapkę i postanowiła wyjść jeszcze na werandę. Wieczór był taki piękny...

Wyniosła na werandę fotel na biegunach ze swojego pokoju, usiadła sobie na nim wygodnie i zapatrzyła się w dal. Nad szczytami gór pojawiły się już pierwsze miriady gwiazd.

- Piękną mamy noc, prawda, Jenny?

Drgnęła przestraszona. Nie była więc sama. Steve objął ją w talii, podniósł z fotela i przyciągnął do siebie.

Zawahał się jakby, patrząc na młodą dziewczęcą buzię, w szeroko otwarte oczy, pełne nadziei i zaufania. Ale kiedy spojrział na połyskujące srebrem włosy Jenny, zmrużył oczy i pocałował ją delikatnie, lecz podniecająco, według wszelkich prawideł sztuki, które, jako doświadczony kochanek, znał wybornie.

Jenny straciła poczucie miejsca i czasu. Leżała bezwolna w ramionach Stevena i w zapamiętaniu oddawała jego cudowne pocałunki. Serce jej waliło w dzikim staccato.

Tymczasem Steven zaczął rozpinać guziki jej bluzki. Za każdym razem, kiedy dotykał jej nagiej skóry, Jenny wydawało się, że przeszywa ją prąd.

Zsunął bluzkę z jej ramion. Umiejętnie rozpiął stanik.

Jenny wstrzymała oddech. Na ułamek sekundy wróciła jej świadomość. Spróbowała wyrwać się Stevenowi, ale on trzymał ją zbyt mocno, a niewczesną próbę oswobodzenia się z jego uścisku zbył lekkim uśmiechem. Rozgniół jej usta namiętym pocałunkiem. Jego dłonie też nie próżnowały. Przesuwał nimi wzdłuż ciała dziewczyny, zatrzymał na pośladkach i przycisnął do siebie.

Opór Jenny zelżał. Steven rozpałił w niej ogień, którego istnienia nigdy by u siebie nie podejrzewała. Z zamkniętymi oczami dawała się pieścić, oczarowana nowymi dla niej doznaniem.

Prawie nie zauważyła, gdy Steven podniósł ją do góry, zaniósł do pokoju i ostrożnie położył na łóżku. Nie protestowała, gdy zdjął z niej dżinsy i majteczki. Położył się obok i przytulił dziewczynę do siebie. Jego pocałunki były jeszcze intensywniejsze i jeszcze bardziej podniecające.

Nagle zerwał się gwałtownie z łóżka. Jenny spojrzała rozczarowana, nie wiedząc, czy znowu sobie z niej drwi, czy nie.

Tymczasem Steven rozebrał się. Jego nagie ciało wspaniale prezentowało się w jasnym świetle księżyca. Jenny przełknęła głośno ślinę. Po raz pierwszy w życiu widziała nagiego mężczyznę. Stropiła się nieco.

Steve wrócił do niej. Nie tracił już czasu na pocałunki, tylko wszedł w Jenny jednym silnym ruchem.

Ostry ból przeszył szczupłe ciało dziewczyny. Zesztywniała cała i zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć.

Steve zatrzymał się na chwilę, ale zaraz potem podniecenie wzięło górę nad delikatnością i zaczął się w niej poruszać. - Jenny, och... Jenny... - jęknął.

Wkrótce ból ustąpił, a Jenny zaczęła odczuwać słodką, zupełnie jej dotychczas nieznaną rozkosz, wzrastającą z każdym ruchem bioder Stevena. Ta rozkosz znalazła swe apogeum dokładnie w tym momencie, kiedy Steven krzyknął. Kobieta o większym doświadczeniu wiedziałaby, że i on czuł podobnie, ale Jenny trochę się tego krzyku przestraszyła.

Przede wszystkim była jednak ogromnie szczęśliwa. Tak ogromnego szczęścia nigdy jeszcze nie zaznała.

Wtuliła się w swego pierwszego mężczyznę i zasnęła.

Steve leżał długo bez ruchu. Wstydział się i czuł się winny. Ta, którą potraktował jak dziwkę, była dziewicą.

- Przebacz mi - szepnął całując różowy policzek.

Steve wrócił do swego pokoju, ale o zaśnięciu nie było mowy. Stał przy oknie i rozmyślał. Czuł do siebie wstręt. Sponiewierał, upokorzył niewinną dziewczynę tylko dlatego, że była podobna do Ewy. A przecież zewnętrzne podobieństwo nie musiało oznaczać jednakowych charakterów. On zaś założył z góry, że musi być tak podstępna i wyrachowana jak tamta.

Jenny zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Już samo to, że po pierwszym upadku z konia, sama z własnej woli wsiadła na niego ponownie, świadczyło o niezłomności jej charakteru. Miała w sobie tyle wdzięku, tyle dziewczęcej świeżości...

Steve musiał wreszcie przyznać sam przed sobą, że... ją kocha. Uśmiechnął się do siebie. Jutro z rana wyzna jej miłość, poprosi o przebaczenie i zaproponuje małżeństwo.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi. Chuck! O, Boże! Zupełnie o nim zapomniał, a przecież przyrzekł ojcu na łożu śmierci, że będzie się nim opiekował. Dbaj o niego i chroń go, oddaję ci go w opiekę, mówił umierający ojciec.

Steve ukrył twarz w dłoniach. Nie może przecież odbierać bratu dziewczyny. Byłaby to podwójna zdrada - ojca i brata.

Rozdział 8

Jenny przeciągnęła się leniwie w łóżku. Czuła się jakoś inaczej, dojrzałej. Uśmiechając się wróciła myślami do wczorajszego wieczoru. Steve ją kochał. Zostali kochankami.

Pogładziła koniuszkami palców to miejsce na poduszce, gdzie odcisnęła się jego głowa.

Wyskoczyła z łóżka i wyrzała przez okno. Niebo zaciągnięte szarymi ołowianymi chmurami wcale jej nie przestraszyło ani nie zepsuło jej humoru. To będzie i tak najszczęśliwszy dzień w jej życiu!

Pobiegła jak na skrzydłach do stajni. Zaraz ujrzy Stevena, swego ukochanego, najcudowniejszego na świecie Stevena, którego kochała każdą komórką swego ciała. Przywitała się w biegu z Willym, Petem i innymi pracownikami, zatrzymała się na chwilę w kuźni, żeby zobaczyć, jak podkuwają konia, i wreszcie dostrzegła Stevena, który szedł wyasfaltowaną alejką.

Podniosła rękę i zamachała do niego, ale chyba jej nie zauważył, wszedł bowiem do biura, nawet nie spojrzawszy w jej stronę.

Jenny opuściła rękę. Nie, to niemożliwe, żeby jej nie widział. Czy coś się stało? Może miał jakiś problem?

Tak, pewnie błądził myślami gdzie indziej i dlatego jej nie zauważył. Pójdzie do niego i wszystko się na pewno wyjaśni.

- Halo, Steve - otworzyła drzwi.

Steve patrzył na nią, jakby była dla niego kompletnie obcą osobą.

- Dzień dobry - powiedział bezosobowo, a ponad głową Jenny zawołał: - Hej, Dan, co z tym bułankiem? Wszystko w porządku?

- Tak - brzmiała odpowiedź. - Chce pan rzucić na niego okiem?

- Okay. Zaraz wrócę - rzucił gdzieś w przestrzeń.

Jenny patrzyła za nim jak ogłuszona. Zbladła jak ściana, opuściła głowę i zmęczonym krokiem wróciła do domu.

Takiego upokorzenia nie przeżyła nigdy w życiu. W książkach o Dzikim Zachodzie, które z takim zapalem czytywała, nie było takich sytuacji. Zazwyczaj pierwsza wspólna noc łączyła kochanków na całe życie i ona, niedoświadczona, naiwna gąska, sądziła, że tak powinno być. Steven był taki odpychający. Dlaczego? Musiał być przecież jakiś powód.

Rzuciła się w wir prac domowych. Wysprzątała wielki dom tak, że Luiza nie mogłaby jej nic zarzucić. Starła kurze we wszystkich pokojach, wywoskowała wszystkie poziome płaszczyzny, harując w pocie czoła.

Kiedy nie znalazła już w domu żadnej pracy, poszła do ogrodu, żeby tam wyładować nadmiar energii. Pełła, kopała i grabiła w sposób, który na pewno zasłużyłby na pochwałę Luizy. Powoli uspokajała się. Świeże powietrze miało na nią chyba dobroczynny wpływ.

Pewnie wszystko było wynikiem jakiegoś głupiego nieporozumienia. Z czasem wszystko się wyjaśni.

Pełen podziwu gwizd wydobył się z ust Chucka, gdy zobaczył Jenny.

- O, cholera! Ale się odpieprzyłaś! Mamy dziś jakąś rocznicę?

- Nie, nie... - zaprzeczyła gwałtownie. - Chuck... czy rozmawiałeś już ze Stevenem o swoich i Heleny planach?

- Jeszcze nie. Nie widziałem go przez cały dzień. Może dziś go dopadnę. Zadowolona?

Jenny pokraśniała jeszcze bardziej. - Nie jest to aż tak pilne, ale dobrze by było, żebyś go poinformował, co zamierzasz robić w przyszłości. Za pół godziny podam do stołu, a ciebie poproszę, żebyś się przebrał. Zobacz, jak wyglądasz. - Mówiąc to Jenny spojrzała krytycznie na zabłocone buty Chucka i na jego zakurzony kombinezon.

- Już lecę pod prysznic. Ściele się do nówek - skłonił się Chuck. Niebawem Jenny zaniósł do jadalni kunsztownie ugarnirowane półmiski i uderzyła w gong.

- Kolacja! - obwieściła drżącym głosem.

Chuck i Steve weszli do jadalni jednocześnie, tak jakby się umówili. Starszy Felton wyglądał dziś bardziej niż kiedykolwiek na bohatera westernu. Do bardzo obcisłych dżinsów w najpiękniejszym kolorze indygo włożył śnieżnobiałą szeroką koszulę, która wspaniale kontrastowała z jego opaloną twarzą o wybitnie męskich rysach. Jenny westchnęła cichutko.

- O rany! Ale żarcie! - wykrzyknął Chuck z podziwem. - Steki, pieczone ziemniaki ze śmietanowo-ziołowym sosem, groszek z miętą, kolby kukurydzy z rusztu, trzy różne sałatki, rożki z ciasta francuskiego z miodem - wyliczył wszystko, co udało mu się zidentyfikować. - Genialnie! Ale powiedz, dziewczyno, czym zasłużyliśmy sobie na takie frykasy. Nasze prowincjonalne gardła nie nawykły do tak wytwornego jedzenia.

- Chciałam godnie zastąpić Luizę - uśmiechnęła się Jenny nieśmiało. - Zarezerwujcie sobie jeszcze trochę miejsca na deser. Będzie tort czekoladowy z bitą śmietaną.

- Posiłek jest naprawdę na najwyższym poziomie. Proszę przyjąć wyrazy uznania - odezwał się Steve uprzejmie, ale bardzo, bardzo chłodno.

Jenny natychmiast straciła apetyt. Bezmyślnie dłużyła widelcem w potrawach, ale nic już jej nie smakowało. Dziwiła się nawet, że mężczyźni pałaszują z takim apetytem. Cera jej pobladła, a oczy straciły blask.

Nagła zmiana w zachowaniu i wyglądzie Jenny nie uszła uwagi Chucka. Zauważył, jakim wzrokiem patrzy na Stevena, najpierw błagalnie, a potem coraz smutniej i smutniej. Serce mu się krajało, gdy widział jej rozpacz.

Co, u diabła, zrobił jej ten stary Steven? Pokręcił głową. Dzisiaj zrozumiał, skąd wzięła się niechęć, wręcz wrogość Stevena wobec Jenny. Przyczyną było uderzające podobieństwo Jenny do Ewy. Obie były niebieskookie, jasnowłose i prześliczne. Widocznie ta stara historia ciągle w nim tkwiła. Tylko że sam go przecież uczył, że nie należy się sugerować czyimś wyglądem, że to nie wygląd świadczy o człowieku, a charakter. Sam teraz zaprzeczał swym poglądom.

- Jenny?

Drgnęła przestraszona.

- Czy wspominałem ci już, że w naszych żyłach płynie indiańska krew?

- Naprawdę? - Policzki dziewczyny zaróżowiły się nieco. Chuck kiwnął głową. - Nasz prapradziadek osiedlił się tu ze swoją białą żoną, która nie przetrzymała pierwszej ostrej zimy w górach. Pojął później za żonę piękną Indiankę z plemienia Szoszonów. Jakież oni mieli cudne życie - rozmarzył się patrząc gdzieś w dal.

- Aha, to jest właśnie ten zew indiańskiej krwi. Wszystko, czego ci trzeba do szczęścia, to konie, przestrzeń i samotność w górach - powiedział drwiąco Steven. - Kiedy ty wreszcie wydorosłejesz i zmądrzejesz?

- Może wtedy, kiedy ty nauczysz się dobrych manier i przestaniesz się zachowywać jak najdzikszy z czerwonych braci.

Steve spojrział na brata wrogo. Rzucił serwetkę na stół i podniósł się.

- Jestem umówiony z Glorią - powiedział. - Dziękuję za doskonałą kolację, Jenny. Z deseru zrezygnuję, dostanę go u Glorii.

Sposób, w jaki to powiedział, nie pozwalał wątpić w prawdziwy sens jego słów.

Jenny o mało nie zemdląca. Zrobiło jej się wściekle gorąco, a zaraz potem przejmująco zimno. Jak on mógł! Jak mógł zrobić jej coś takiego?! Iść do Glorii! Teraz, gdy połączyła ich wspólna tajemnica,

Chuck zerwał się z miejsca, chciał pędzić za bratem i skłonić go do opamiętania, ale rozmyślił się. Podszedł do Jenny. Pogładził ją po głowie.

W ogóle nie zauważyła, że Chuck stoi przy niej. Myślała, że serce jej pęknie. Muszę mieć pewność, pomyślała, i pobiegła za Stevenem.

- Steve! - krzyknęła na korytarzu. Nie zdążył jeszcze wejść do swojego pokoju. Odwrócił głowę w jej kierunku. - Tak?

- Steve... ja chciałabym wiedzieć, na czym stoję. Dlaczego kochałeś się ze mną wczoraj?

- Sytuacja była tak korzystna... że grzechem byłoby nie skorzystać z niej. Nie wyciągnęła chyba pani fałszywych wniosków z naszego... hmm... intermezza? Każdy miał swoją porcję przyjemności i tyle. Zgodzi się pani ze mną, panno Vandeen?

Jenny patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Jeszcze coś?

Pokręciła głową w milczeniu. Odwróciła się i ogromnym wysiłkiem woli poszła do siebie.

- Jenny! - Chuck wyszedł akurat na korytarz. - Co się stało? Wyglądasz jak półtora nieszczęścia! - Objął ją i poprowadził do salonu. Siłą niemal posadził na sofie i przytulił jak małe dziecko. Rozplakała się żałośnie.

- Co ci ten podlec zrobił? Już ja się z nim policzę!

- Chuck... - zaczęła Jenny, ale natychmiast przerwała. Co miała mu powiedzieć? Że przespała się z jego bratem i że on uczynił z niej kobietę? Nie, takie wyznanie nie przejdzie jej przez gardło. Rozszlochała się jeszcze bardziej niż przed chwilą.

- Nie płacz, Jenny, nie płacz, dziewczynko - powtarzał bezradnie Chuck. - Wiesz co? - przyszła mu do głowy zbawcza myśl. - Posiedź tu spokojnie, przyniosę coś, co być może pozwoli ci zrozumieć, dlaczego Steve jest czasami tak przykry.

- Spójrz! - Chuck usiadł z rozmachem na sofie obok Jenny i pokazał jej pomięte zdjęcie, na którym Steve trzymał za rękę młodą, szczupłą, roześmianą blondynkę balansującą na przewróconym pniu drzewa.

Jenny rzuciła pobieżnie okiem na fotografię. - No ? co? - spytała cicho.

- Przyjrzyj jej się dobrze, Jenny. Ta kobieta mogłaby być twoją siostrą, a nawet bliźniaczką. Zobacz tylko, jakie jesteście podobne!

Jenny wyprostowała się i po raz drugi spojrzała na zdjęcie. Chuck miał rację. Były istotnie bardzo do siebie podobne.

- Skąd masz to zdjęcie?

- Wypadło z jednej z książek Stevena. Chciałem sobie coś poczytać, poszedłem do jego pokoju i wziąłem kilka książek. Ma ich znacznie więcej niż ja. Zabrałem się za lekturę i nagle z książki wypadło zdjęcie tej kobiety. Steve zakochał się w niej wiosną zeszłego roku. Kobieta, z którą chciał się

ożenić ? której chciał dochować wierności aż po kres swych dni, miała na imię Ewa.

- Ale nie ożenił się z nią przecież - szepnęła Jenny.

- Nie - skrzywił się Chuck. - Zanim do tego doszło, piękna Ewa zmyła się stąd. Oddała serce i rękę bardzo zamożnemu rancherowi. Steve nigdy o niej nie mówi. Wszystko, co o niej wiem, wiem od Luizy. Nigdy jej nie poznałem osobiście, ponieważ cała ta historia zdarzyła się, gdy mnie tu nie było. Myślę, że była z niej wyrachowana i podstępna kobieta o wyglądzie anioła.

- Więc Steve ją kochał... - powiedziała Jenny w zamyśleniu.

- A ty jesteś do niej do złudzenia podobna, Jenny.

- Zaczynam rozumieć, Chuck. Mój widok otworzył stare rany, zabliznione przez czas.

- I dlatego otoczył się murem grubiaństwa i nieprzystępności. Chciał uniknąć kolejnego rozczarowania. Bał się, że bliższy kontakt z tobą, mówię o czysto koleżeńskiej znajomości, zburzy ład, który z takim mozolem odbudował.

- Minąłeś się z powołaniem, Chuck. Powinieneś zostać psychologiem. - Jenny próbowała się uśmiechnąć, ale wcale jej to nie wyszło. - I co teraz? Co pocniemy z tym twoim bratem?

- Hmm, spróbujemy pobić go jego własną bronią - powiedział Chuck. Odwrócimy role. Teraz ty będziesz się do Stevena odnosiła w taki sposób, jak on do ciebie.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

- Tak, warto spróbować. Steven nabierze się na nasze sztuczki, jak go znam. Rozzłość go, wzbudź w nim zazdrość, a kiedy zrozumie swój błąd, pokaż mu figę.

- No, dobrze - zgodziła się Jenny z pewnym wahaniem. - Ale ty musisz mi pomóc.

- Oczywiście.

Steven nie pokazał się na rancho przez cały następny dzień. Zjawił się dopiero na kolację. Jenny drżała cała ze zdenerwowania, bo nadarzyła się okazja do wypróbowania nowej taktyki.

Zajęła się Chuckiem z przesadną troską. Nałożyła mu drugi kawałek mięsa, kiedy jeszcze nie skończył pierwszego, rzucała mu czułe, rozkochane spojrzenia, śmiała się perliście z jego dowcipów i co chwila pytała, czy mu smakuje. Uwag Stevena słuchała jednym uchem i nie komentowała. Z biegiem czasu czuła się coraz pewniejsza w nowej roli.

Inaczej było ze Stevenem. Czuł się dosłownie jak piąte koło u wozu. Zupełnie nie rozumiał, co za diabeł wstąpił w Jenny, że tak się zachowuje. Na jego oczach flirtowała bezwstydnie z Chuckiem. Tak szybko puściła w niepamięć ich wspólną noc!

- Aaah! - ziewnął Chuck. - Pójdę już chyba spać. Zaśpiewasz mi kołysankę, dziewczynko Jenny? - Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Jenny pochyliła się ku niemu i upewniwszy się, czy aby na pewno Steve ich obserwuje, szepnęła: - Pozdrów ode mnie Helenę.

- Chodź chociaż na werandę, żeby mi powiedzieć dobranoc - poprosił Chuck.

- Okay - zgodziła się ochoczo i ręka w rękę wyszli z jadalni. Na werandzie ustawili się dokładnie pod oknami jadalni, żeby Steve niczego nie uronił z widowiska, jakie chcieli mu zaprezentować. Jenny przytuliła policzek do twarzy Chucka, co musiało z daleka wyglądać, jakby się całowali.

- Jak gram swoją rolę?

- Jesteś bardzo przekonująca, Jenny. Steve już wykazuje pewną nerwowość. Jesteśmy chyba na dobrej drodze.

Po chwili Jenny wróciła do jadalni. Steve stał przed kominkiem wpatrując się w płomienie.

- Nie powiedziałaś jeszcze, jak ci się podoba moja nowa fryzura, Steve - powiedziała do niego.

Odwrocił się powoli i spojrzał na Jenny spod przymrużonych powiek.

- Dlaczego obcięłaś włosy?

- Dla ciebie. Żebym ci się nie myliła z kim innym.

- Co to ma znaczyć?

- Dowiedziałam się, że jedna z twoich byłych przyjaciółek jest moim sobowtórem. Ta, która ci dała kosza.

Steve spurpurowiał z gniewu. - Kto... skąd... jak się o tym dowiedziałas?

- Tę historię znają tu przecież wszyscy - oprócz mnie. Musiałeś doznać szoku, kiedy tu przyjechałam. Wyglądem do złudzenia przypominałam przecież tamtą. Skorzystałaś z okazji, że zastosuję twój sposób wysławiania się, i zemściłaś się na ufnej dziewczynie. Odbiłaś sobie na mnie swój zawód miłosny. Steve cierpiał wyraźnie. W jego oczach malowała się udreka.

- Jenny... ja...

- Nic lepiej nie mów, Steve. Ja i tak wiem, co chcesz powiedzieć. Że chciałaś nie dopuścić do zażyłości między mną i Chuckiem, ale wiemy oboje, że to tylko pretekst.

- Posłuchaj, Jenny...

- Nie przerywaj mi! Usłyszysz jeszcze ode mnie kilka prawd, które cię w ogóle nie zainteresowały. Czy choć raz zapytałeś, skąd pochodzę, gdzie się wychowywałam i co robię w życiu? Nie, bo osądziłeś mój charakter na podstawie wyglądu zewnętrznego. Jestem sierotą. Po śmierci obojga rodziców, którzy byli misjonarzami w Indiach, wzięła mnie do siebie ciotka, zwolenniczka purytańskich zasad wychowania. Do niedawna nie nosiłam modnych strojów, nie umiałam się malować i nie znałam sztuki flirtu. Nigdy nie miałam chłopaka, nie bywałam nigdzie, dopóki nie poznałam Chucka. Już w dzieciństwie zaczęłam się pasjonować westernami i ich bohaterami, całym tym światem Zachodu, gdzie dobro zawsze zwycięża zło, gdzie czarne jest czarne, a białe - białe, gdzie mężczyźni są szarmanccy wobec pań, prawi i szlachetni. Przyjechałam tu, żeby na własne oczy poznać takiego bohatera - ciebie, bo Chuck przedstawił cię w jak najlepszym świetle. Ty zaś rzuciłeś się na mnie jak drapieżnik na swą ofiarę.

Steve spuścił głowę. - Nie myślałem, Jenny... Nie wiedziałem.

- Nie myślałeś, zgoda, a nie wiedziałeś, bo nie chciałeś wiedzieć! Steve milczał.

- Nie miałam zamiaru wyjść za Chucka. Ale teraz zobaczyłam go w całkiem innym świetle. Będzie z niego dobry mąż - czuły, wierny, troskliwy i wyrozumiały...

Steve jęknął i skierował się do drzwi. Nie mógł już tego słuchać.

- Przespałam się z tobą tylko dlatego, żeby wzbudzić w nim zazdrość. - Jenny posłała za nim swą ostatnią zatrutą strzałę.

Steve stanął nagle, jak rażony piorunem. To samo powiedziała Ewa przy burzliwym rozstaniu. Spalam z tobą, bo chciałam wzbudzić zazdrość w Royu! Odwrócił się. Krew odpłynęła z jego twarzy. Wyglądał strasznie. - Ty mała, nędzna kurewko! Ty... Zbliżał się do niej powoli.

Jenny cofnęła się tak bardzo, że łydkami otarła się o sofę. Podniosła rękę w obronnym geście.

- Steve, proszę, nie...

Nie spodziewała się ujrzeć takiej nienawiści w jego oczach. I takiej bezmiernej pogardy.

- Steve, ja...

Nie słuchał jej. Rzucił ją na sofę, przygniótł całym ciężarem swego ciała i boleśnie wpił się w usta dziewczyny.

Jenny broniła się rozpaczliwie. Kopała, okładała pięściami, gryzła i drapała. Steven był jednak znacznie silniejszy. To, co z nią robił, zakrawało na gwałt.

Jednym ruchem rozerwał jej bluzkę na piersiach i wpił zęby w delikatną skórę. Opamiętał się jednak w porę.

Zerwał się, spojrzał na nią z góry i powiedział: - No, teraz naprawdę wyglądasz jak kurwa, którą jesteś!

RS

Rozdział 9

Następnego ranka Jenny obudziła się tak zmęczona, jakby wcale nie spała. Nie chciało jej się wstawać. Bała się, że znowu będzie musiała stawić czoło Stevenowi.

Tak, ale jak długo można przed nim uciekać. Kiedyś w końcu się spotkają, wejdą sobie w drogę, więc może lepiej nie chować głowy w piasek jak struś, tylko wyjść naprzeciw temu, co nieuniknione.

Do diabła ze Stevenem! Jenny wyskoczyła z łóżka i pobiegła pod prysznic.

W jadalni pachniało kawą, a z kuchni dochodził głośny śpiew. Jenny poznała popularną pieśń kościelną. Zajrzała tam.

- Dzień dobry - głos Luizy zabrzmiał nader uprzejmie.

- Dzień dobry, Luizo. Nie wiedziałam, że już pani wróciła. Jak czuje się pani córka?

- Od wczoraj jest już na nogach, więc postanowiłam wrócić. Praca nie zrobi się przecież sama. Obiad będzie dzisiaj punktualnie o dwunastej.

- Steve i Chuck ucieszą się z pani powrotu.

- Liczę na to. Kocham ich przecież jak własne dzieci.

- Czy mogłabym w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję, panno Vandeen. - Spojrzała uważnie na Jenny. - Widzę, że obcięła pani włosy. Nie szkoda było?

- Nie - uśmiechnęła się Jenny. - Nie chciałam już przypominać dziewczyny, która wszystkim się tu naraziła.

Luiza umknęła spojrzeniem w bok.

- Czy to dlatego była pani dla mnie tak niesympatyczna? Gospodyni wzruszyła tylko ramionami w odpowiedzi.

- Czy nie powinna mi pani dać szansy? Zaszufładowała mnie pani, nie znając mnie w ogóle. Czy tak się powinno postępować?

Luiza zaczerwieniła się. Biła mięso tłuczkiem, jakby chciała, żeby plastry wołowiny były jak pergamin.

- Dlaczego długowłose blondynki zasługują według pani na potępienie?

Luiza przerwała znęcanie się nad mięsem i odwróciła się do Jenny.

- Przyjechała tu taka słodka, w uśmiechach i płasach, chodząca niewinność. Przejrzałam ją od razu. Wyczułam, że jest nieszczerą, że knuje jakiś podstępny plan. Żmija! Steven wpadł jednak po uszy. Był ślepy i głuchy. Nie trafiały do niego żadne argumenty.

- Ale... co takiego zrobiła?

- Ewa - wyjątkowo pasuje do niej to imię - pojechała w odwiedzinach do przyjaciółki szkolnej. Ojciec tej dziewczyny był wdowcem, a jego majątek był większy o ładnych kilka hektarów od naszego. Ewa zaczęła uwodzić starego. Steve dowiedział się jakoś o tej sprawie i wystawił jej rzeczy za drzwi. Poleciała jak na skrzydłach do starego i natychmiast się za niego wydała. Steve zrobił się nie do wytrzymania. Trzeba było mieć do niego anielską cierpliwość. Chodziliśmy koło niego na paluszkach, żeby go tylko nie wytrącić z równowagi.

- I wtedy właśnie zjawiłam się ja - sobowtór Ewy. Obawialiście się wszyscy, że historia powtórzy się.

- Hmm, co miała pani zrobić dziś na kolację? - Luiza zmieniła sprytnie temat..

- Wczoraj wyjęłam z zamrażarki cielecinę. Pomyślałam, że odpowiednio przyprawiona pieczeń cieleca może im smakować. Włożyłam mięso do lodówki, żeby się powolutku rozmroziło.

- Bardzo dobrze. Ja też tak zawsze robię - pochwaliła ją Luiza. - Przepraszam, ale mam jeszcze mnóstwo roboty - dała jej do zrozumienia, że nie chce już dłużej rozmawiać o Stevenie i o Ewie.

Jenny wyszła z kuchni. Nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. W kuchni nie była już potrzebna, Chucka nie było, a na przejażdżkę konną jakoś nie miała ochoty.

Wyszła na werandę.

- Halo, Jenny! - Gloria przygalopowała na swym koniu pod sam dom.

- Dzień dobry - odparła Jenny chłodno.

- Wracam właśnie od Stevena - uśmiechnęła się czarnowłosa amazonka. - Chciałam się tylko upewnić, czy Chuck przyjdzie z panią do mnie na barbecue w sobotę?

- Chuck nic mi nie mówił o tym przyjęciu.

- Nie może go pani przegapić. Będą na nim wszyscy ranczerzy z okolicy. Obiecuję pani świetną zabawę.

- Muszę zapytać Chucka, co on na to.

- Och, na pewno będzie chciał uczestniczyć w zabawie, kiedy się dowie, jaki skład gości przewiduję.

- Czy Steven też tam będzie?

- Oczywiście. Dlaczego pani pyta?

- Ostatnio jest taki... roztargniony... w ogóle nie wspomina o pani. Uśmiech Glorii przerodził się w obrzydliwy grymas. Zacisnęła pięści. - Dziwka! -

syknęła. - Przejrzałam pani grę. Rozszyfrowałam pani zamiary. Steve nie da się już więcej nabrać na słodkie minki. Jenny nie straciła jeszcze zimnej krwi.

- Może sobie pani zmieniać fryzurę, jak często pani zapragnie. Twarzy pani nie zmieni. Czy naprawdę myśli pani, że Steve chce, aby codziennie przypomniano mu o tamtej dziwce?

Teraz Jenny zbladła. Każde słowo Glorii odbierała jak uderzenie pejcem.

- Nigdy nie dostanie pani Stevena! - Gloria obrzuciła Jenny triumfującym spojrzeniem, spięła konia i odjechała.

Słowa Glorii ciągle rozbrzmiewały w uszach dziewczyny. Czy nie miała czasem racji, mówiąc o tym przypomnieniu? Przecież Steven musiał automatycznie myśleć o Ewie, widząc dziewczynę tak bardzo do niej podobną. I to pewnie w każdej sytuacji.

Pod wieczór zaczęło padać. Tym razem Jenny przysłała do jadalni jako pierwsza. Podeszła do okna. Ponura pogoda doskonale pasowała do jej nastroju. Za kilka dni jej urlop dobiegnie końca. Sama nie wiedziała, cieszyć się czy martwić?

- Halo, Jenny, ale zmokłem! - Chuck otrząsnął się jak pies po wyjściu z wody.

Jenny roześmiała się mimo woli. Chuck wyglądał jak zmokła kura. Dobrze, że już wrócił. Przy nim czuła się naprawdę bezpiecznie.

- Słuchaj, chciałabyś pojechać jutro na spęd bydła z hal?

- Pytanie! Pewnie, że bym chciała.

- Okay, masz to załatwione. O siódmej rano złączą spędzać bydło z gór, myślę, że o trzeciej po południu, a może nawet o czwartej stado znajdzie się w dolinie. Przyjadę po ciebie o odpowiedniej porze.

- Będę czekała. Chuck, czy słyszałeś o przyjęciu, które ma się odbyć w sobotę?

- Masz na myśli kolosalny spęd ranczerów u Glorii, który ona nazywa barbecue?

- Aha.

- Tak, wiem, o czym mówisz. Nie wybieram się tam. Nie lubię takich masówek.

- Dobrze się składa, bo ja też za nimi nie przepadam.

Po posiłku, w którym Steven nie uczestniczył, Jenny wróciła do swego pokoju, a Chuck wymknął się jeszcze do Heleny.

Dziewczyna zagłębiła się w lekturze westernu, którego jeszcze nie znała. Miły spokój przerwało jej pukanie do drzwi.

Kto by to mógł być?

Otworzyła pospiesznie drzwi i zobaczyła w nich Luizę.

- Ach, to pani - ucieszyła się.

Luiza wniosła do pokoju kraciasty koc. - Zimno się zrobiło. Przyniosłam pani koc, żeby pani nie zmarzła.

- Dziękuję bardzo, że pani o tym pomyślała, Luizy. Ktoś zapukał nieśmiało do drzwi.

- To pewnie Pete. Kazałam mu przynieść drwa i napalić u pani w kominku.

- Wytrzymaj nogi młody człowieku! - upomniała rudzielca.

- Dobry wieczór - powiedział Pete, czerwieniąc się jak zwykle po uszy.

- Bardzo to miło z państwa strony - podziękowała wzruszona Jenny.

- Może chciałaby pani jakąś kanapkę czy herbatę?

Jenny wyczuła, że Luiza chce jej wynagrodzić poprzednie złe traktowanie.

- Nie, na razie dziękuję. Ale jeśli pani tak miła, to proszę mi zrobić kanapkę i szklanek mleka na później.

- Dobrze, zostawię wszystko na górnej półce w lodówce.

- Dziękuję, Luizy, również za koc i za kominek.

- Dobranoc, Jenny.

- Dobranoc państwu.

Nareszcie zrobiło się miło, tylko że ta sympatyczna atmosfera pojawiła się zbyt późno.

Jenny wyszła na werandę. Po deszczu powietrze nabrało jedynej w swoim rodzaju świeżości.

Nagle usłyszała kroki na ścieżce.

- Dobry wieczór, Steve - powiedziała, gdy zbliżył się do niej.

- Jak tam twoje sprawy? Udało się znowu rozdziewiczyć jakąś panienkę?

- Nie mam zwyczaju uganiać się za dziewczynami.

- Nie? - zdziwiła się Jenny obłudnie. - Czemu więc mam zawdzięczać zaszczyt zainteresowania się moją skromną osobą?

- Proszę o wybaczenie - słowa Stevena zabrzmiały jak wypowiedzenie wojny.

- Nie, naprawdę, jaki z ciebie dżentelmen!

- Jenny! - Steven nie wytrzymał i złapał dziewczynę za nadgarstki.

- Co to ma znaczyć?

- Jenny? Nie pomyliły ci się imiona? Nie miałeś na myśli Glorii? Od niej przecież wracasz!

- Ach, ty mała diabolic! - Steve wzmocnił uścisk. - Nie ujdzie ci to na sucho.

- Zostaw mnie, słyszysz?!

Mimo silnych protestów Steve wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do swego pokoju, gdzie rzucił ją na łóżko. Nie zdążyła się poderwać, gdyż zaraz przygwoździł ją swym ciężarem. Brutalnie całował ją gdzie popadło, rozpinając jednocześnie rozporek.

- Powiem wszystko Chłuckowi! - krzyknęła Jenny i zabieg ten okazał się na tyle skuteczny, że skłonił Stevena do opamiętania.

- Zejdź mi z oczu! - zażądał.

Spełniła jego życzenie natychmiast. Pobieгла do swego pokoju i przekręciła klucz w zamku. Zasunęła drzwi na werandę i też je zamknęła na klucz.

Ranek nie przyniósł jej ukojenia. Obudziła się zrana z bólem. Bolały ją ramiona. Wszędzie tam, gdzie Steve ją trzymał, pojawiły się czerwone siniaki. Pamiątki po czułych dłoniach Stevena!

Pamiątki! O, Boże! Jenny uświadomiła sobie nagle z całą ostrością, że noc ze Stevenem może być brzemienna w skutki, i to w najdosłowniejszym sensie tego sformułowania.

RS

Rozdział 10

Chuck gwizdnał przez zęby. - Ej, miałeś randkę z dzikim kotem, Steve? Starszy brat rzucił mu tylko ostrzegawcze spojrzenie w odpowiedzi.

Jenny podniosła głowę. Steve wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Miał spuchniętą dolną wargę i podrapane policzki. Ostre paznokcie i zęby Jenny zrobiły swoje. Nagle ogarnęła ją nieprzeparata ochota do śmiechu. Parsknęła jak nastolatka.

Steve spojrział na nią niechętnie.

Luiza wniosła kawę. - Mój Boże, Steve, stoczyłeś walkę z dzikim kotem? - spytała zdziwiona.

Jenny nie mogła się już powstrzymać. Zakryła usta dłonią i wypadła z jadalni.

Rzuciła się na łóżko w swoim pokoju i formalnie zanosila się od śmiechu.

- Jenny? - rozległ się za drzwiami głos Chucka. - Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Wejdz, Chuck. Przepraszam, ale nie mogłam się opanować.

- Może to ty byłaś tym dzikim kotem?

- Wszystko jest możliwe - odparła Jenny tajemniczo.

- Steve nie cierpi, gdy ktoś się z niego śmieje. Na twoim miejscu nie wchodziłbym mu teraz w drogę.

Ja też wielu rzeczy nie cierpię, pomyślała Jenny.

- Powinien zmienić poczucie humoru - powiedziała odważnie, ale Chuck zmienił temat.

- Jedziesz ze mną na spęd bydła?

- Nie, jednak zrezygnuję, jestem jakaś taka rozbita.

- Jak chcesz - mruknął Chuck zawiedziony.

Jenny leniuchowała przez całe popołudnie. Nie miała ochoty na nic, ale organizm ma swoje prawa i wieczorem poczuła głód.

Przy kolacji Steve ignorował ją kompletnie. Jadł swoją porcję w milczeniu, czasem tylko zwracając się do brata.

- Będiesz w sobotę u Glorii, Chuck?

- Ach, wiesz, jak ja lubię te jej osławione przyjęcia. Raczej nie. Jenny i ja pojedziemy zabawić się gdzie indziej.

- Będzie tam pewien irlandzki hodowca. Myślę, że powinienes się z nim spotkać.

- Hmm - zastanowił się Chuck. - To zmienia postać rzeczy. Ci Irlandczycy mają wyjątkowy dryg do koni. Może jednak wybierzemy się do Glorii, Jenny?

- Czemu nie? - uśmiechnęła się Jenny. - Wiesz przecież, że dla ciebie zrobię wszystko.

Steve obrzucił ją szyderczym spojrzeniem.

- Jeśli jednak Steve nie życzy sobie, żebym ci towarzyszyła, to...

- Chuck może robić, co mu się podoba - odrzekł Steven. - Jest wolnym człowiekiem.

Podniósł się od stołu. - Przepraszam, ale mam jeszcze pracę. Dobranoc,

- Jestem gotowa! - Jenny wpadła do salonu, gdzie czekali na nią obaj mężczyźni.

- Oho! Wyglądasz jak supernaręczona, dziewczynko Jenny! - zawołał Chuck z podziwem. Zaczerwienił się. - To znaczy... jak królewna z bajki - poprawił się.

- Dziękuję, Chuck. Widzę, że doceniłeś moją nową sukienkę. - Spojrzała szybko na Stevena. Ich spojrzenia skrzyżowały się przez jedną krótką chwilę, ale zaraz Steven odwrócił wzrok, jakby go przyłapano na czymś zakazanym.

- Czy mógłbym zamienić z tobą kilka słów na osobności? - zapytał Chuck.

- Chuck, jesteśmy już spóźnieni - upomniał go starszy brat.

- Tylko minutkę, Steve.

- Okay, będę czekał w samochodzie. Pospieszcie się.

- Jenny - zaczął Chuck nerwowo, gdy zostali sami. - Jest pewien mały problem. Otóż rodzice Heleny i ona sama zostali również zaproszeni do Glorii.

Aha, więc o tym mówiła Gloria. Była przekonana, że Chuck przyjdzie, gdy tylko pozna skład gości.

- Nie martw się, Chuck. Ja już mam dosyć tej zabawy w chowanego. Jutro wrócę do San Francisco.

- O, Boże, kamień spadł mi z serca. - Chuck uśmiechnął się z wyraźną ulgą. - Och, przepraszam, Jenny, chciałem powiedzieć...

- Nie ma sprawy, wiem, że miałeś dobre intencje, Chuck.

Dom Glorii tonął w powodzi świateł. Iluminacja wkroczyła też do ogrodu. Wszędzie rozbrzmiewały śmiechy i przytłumiona muzyka.

Jenny rozejrzała się ciekawie. A więc tu mieszkała Gloria i tu spędzał Steve większość czasu. Wnętrze domu było rzeczywiście bardzo eleganckie, może nawet aż za bardzo, jak na gust Jenny. Miała poza tym wrażenie, że urządzone je bardziej na pokaz niż dla wygody właścicieli.

- Zapraszam, zapraszam - Gloria witała gości stojąc pośrodku salonu.

- Jak to dobrze, że przyszedłeś, kochanie - rzuciła się Stevenowi na szyję.

- Dobry wieczór, Glorio, dziękujemy za zaproszenie. - Jenny i Chuck wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie ma za co, dzieciaki. Czujcie się jak u siebie w domu. - Gloria uwiesiła się na ramieniu Stevena. - Potowarzyszysz mi troszkę, słoneczko?

Chuck i Jenny odwrócili głowy jak na komendę, żeby ukryć uśmiech. Odeszli dalej i tam swobodnie wybuchnęli nieskrępowanym śmiechem.

- Jak ona koło niego skacze! Komedial! - Chuck prawie płakał. - Jenny, rzucamy się w ten tłum?

- Pewnie, chciałabym przecież pogadać z Heleną. Musi tu być. Podał jej ramię i weszli do ogromnego ogrodu zimowego, gdzie było najwięcej gości.

- Czy mógłbyś mi przynieść coś do picia, Chuck? A potem poszukaj Heleny - poprosiła Jenny.

- Już lecę! - Chuck zniknął w tłumie.

Przez chwilę Jenny czuła się nieswojo. Po raz pierwszy w życiu uczestniczyła w takim eleganckim przyjęciu i wydawało jej się, że wszyscy na nią patrzą.

- Jest pani sama?

Jenny odwróciła się przestraszona. Przed nią stał sympatyczny młody człowiek, który uśmiechał się do niej miło.

- Nazywam się Byron Arnold. Jestem fotografem.

- Panna Jenny Vandeen. Spędza wakacje na naszym rancho. - Był to głos Stevena, który pojawił się koło nich zupełnie nie wiadomo skąd. - Byron jest zanadto skromny. Musisz wiedzieć, Jenny, że jest absolutnie najlepszy w fotografowaniu zjawisk przyrody. O jego zdjęcia walczą najlepsze magazyny i wydawnictwa.

- Ojej, gdzieś już widziałam pana nazwisko. Czy to pan może zilustrował album o Wyoming? Widziałam go na rancho Feltonów.

- Widzę, że jestem znany - ucieszył się Byron.

- Rzeczywiście, fotografie pana były najwyższej jakości, zarówno od strony technicznej jak i od ujęcia tematu.

- Kiedy się kocha przyrodę, fotografowanie jej jest tylko przyjemnością - odrzekł Byron, skłonił się i odszedł pośpiesznie.

- Mam tu kogoś, kogo koniecznie musi pani poznać, Jenny - Gloria trzymała za rękę Helenę.

- My się już przecież znamy - odparła Jenny swobodnie. - Dobry wieczór, Heleno.

- Halo - przywitała się nieco zalekniona dziewczyna.

- Miałam nawet nadzieję, że panią tu spotkam, ponieważ bardzo chciałam poznać panią bliżej. Ma pani chwilkę czasu?

- Tak.

- Chodźmy więc do innego pokoju, gdzie jest trochę spokojniej.

A, tu jesteście, dziewczyny - ucieszył się Chuck. - Szukam was od dobrego kwadransa. Przyniosłem wam drinki.

- Dzięki, Chuck - Helena wzięła szklaneczkę z sokiem pomarańczowym i uśmiechnęła się do niego miło.

- Wszystko w porządku? - spytał zażenowany.

- Tak, wszystko w porządku, Chuck - odparły obie dziewczyny chórem.

- Czy można się do was przysiąść? - Byron stanął przed nimi.

- Tak, oczywiście. Jenny, przepraszam cię, ale my z Heleną musimy wreszcie dopaść tego Irlandczyka. Zostawiamy cię pod opieką Byrona.

- Okay, idźcie, poradzę, sobie sama.

- Jak długo będzie pani u Feltonów?

- Jutro wyjeżdżam.

- No, nie! - Byron złapał się za głowę w udawanym geście rozpaczony. - Ja zwariuję! Spotykam ideał dziewczyny, a on mi mówi, że jutro wyjeżdża!

- Oj, bo się rozplącę - zażartowała Jenny. - Niech mi pan lepiej opowie o swej pracy. Czy fotografuje pan tylko przyrodę?

Byron wdał się w tajniki portretowania, żałując jednocześnie, że nie będzie już okazji, żeby zrobić Jenny tak piękny portret, na jaki jej uroda zasługuje.

W pewnym momencie Jenny dostrzegła kątem oka Stevena, który obserwował ją ukradkiem.

- To było do przewidzenia! - Nieznajomy młody człowiek klepnął Byrona po ramieniu. - Byron, stary draniu, ty zawsze umiesz się zakręcić koło najładniejszej dziewczyny na przyjęciu. Niech pani nie da sobie zawrócić w głowie, panno...

- Jenny Vandeen - Ken Bowen - dokonał prezentacji Byron. Obaj młodzi ludzie prześcigali się teraz w okazywaniu względów

Jenny, co oczywiście mile połechtало jej próżność.

Za chwilę dołączył do nich trzeci dżentelmen, którego przedstawili jako reportera miejscowej gazety.

Tego już Steve nie wytrzymał. Podeszedł energicznym krokiem do panów zgrupowanych wokół Jenny.

- Cześć, chłopaki, jak leci?

- Cześć, Steve, co słychać!

- Po staremu, chciałem się tylko upewnić, czy nasz gość dobrze się bawi.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wprawić Jenny w dobry nastrój - zapewnił go Byron. - Możesz nam ufać.

- Steve, kochanie, gdzie ty się podziewasz? - rozległ się głos Glorii. Ani na chwilę nie spuszczała go z oczu.

- Zobaczymy się później - burknął Steve.

- Chwileczkę! - Jenny zerwała się z krzesła i dopadła Stevena pierwsza, przed Glorią. - Czyżbyś był zazdrosny? Patrzysz na mnie tak, jakbym popełniała jakąś zbrodnię rozmawiając z tymi miłymi chłopcami.

- Panno Vandeen, dopóki jest pani naszym gościem, muszę dbać o pani reputację. Nie mogę pozwolić, żeby stała się pani przedmiotem plotek.

Jenny milczała. Nagle zrobiło jej się bardzo duszno. - Idź i zostaw mnie wreszcie w spokoju, Steve - powiedziała wreszcie zmęczonym głosem.

Byron czekał na nią na tarasie. - Źle się pani czuje, Jenny?

- Czy jest pan samochodem? Skinął głową.

- Bardzo mnie boli głowa. Czy mógłby mnie pan odwieźć do domu?

- Oczywiście.

- Dziękuję bardzo. Chciałabym tylko pożegnać się jeszcze z Glorią i poinformować mego troskliwego gospodarza, że wracam do domu.

Po drodze zamieniła jeszcze kilka słów z Chuckiem.

- Jadę już do domu. Boli mnie głowa, a poza tym muszę się spakować. Samolot do Frisco odlatuje o dziesiątej. Odwieziesz mnie na lotnisko, Chuck?

- Oczywiście.

Zaraz też odkryli w większej grupie gości Stevena i Glorię.

- Przepraszam, Glorio, chciałam panią pożegnać i jednocześnie podziękować za miłe przyjęcie. Byron odwiezie mnie do domu - spojrzała na Stevena, podkreślając, że to jest informacja dla niego.

Steve uniósł brwi zdziwiony. - Byron? Myślę, że ja, jako gospodarz, powinienem...

- Dlaczego Byron nie mógłby ciebie w tym wyręczyć? - spytała Gloria.

- Właśnie. Nie chcę pozbawiać Glorii przyjemności obcowania z tobą, Steve. Dobranoc państwu.

- Uff! - westchnął Byron, gdy znaleźli się na dworze. - Ale pani pogrywa z tym Stevenem! Tak na panią patrzył, jakby chciał sprawić pani lanie.

- Och, to naprawdę wyjątkowo trudny we współżyciu człowiek.

- Myślałem, że wszystkie dziewczyny wariują na jego punkcie.

- Wariują - to najlepsze określenie. Bardzo do niego pasuje. Byron spojrzał na nią z zaciekawionym, ale nie odważył się spytać o nic więcej.

Jechali w strumieniach deszczu. Jenny siedziała obok Byrona pogrążona w niewesołych rozmyślaniach. Jutro rozstanie się ze Stevenem na zawsze. Powinna być szczęśliwa, że uwolni się wreszcie od koszmaru tego uczucia, ale tak nie było. Pragnęła go i zdawała sobie z tego sprawę.

- Wszystko w porządku, Jenny? - głos Byrona przypomniał jej, że siedzi w jego samochodzie.

- Tak, nawet głowa mniej już mnie boli. O, jesteśmy już na miejscu. Niech pan nie wysiada. Pobiegnę szybko do domu. Nie chcę, żeby pan zmókł.

- Nonsens! - Byron wyskoczył z samochodu, otworzył drzwi po stronie Jenny, wziął ją na ręce i szybko przeniósł pod dach werandy.

- Jaki pan rycerski. Naprawdę - uśmiechnęła się słabo. - Będę miała co wspominać.

- Ja też. Bardzo miło się z panią rozmawia. Czy mógłbym...

- Nie, moje serce jest już zajęte - przerwała mu aż nazbyt pospiesznie. Byron był bardzo miły, owszem, ale Jenny wiedziała już, że będzie go stale porównywać ze Stevenem.

Byron postawił ją ostrożnie na nogi.

- Dziękuję wobec tego za miły wieczór i do widzenia.

- Dobranoc, Byron.

Poszła werandą do swego pokoju.

- No i jak, przyjemnie było z Byronem? Drgnęła przestraszona, a Steve zastąpił jej drogę.

- Szybki numerek w samochodzie ma swoje niezaprzeczalne uroki, nieprawdaż? Porcja przyjemności i żegnaj na zawsze!

Jenny przemknęła obok niego, weszła do swojego pokoju i pozamykała się ze wszystkich stron. Wiedziała, że ta noc będzie dla niej bezsenna.

- Idź już, Chuck. Nienawidzę rozstań. Są to okropne chwile, które przeciągają się w nieskończoność.

Chuck oddał skromne bagaże Jenny do odprawy.

- No, więc żegnaj, dziewczynko. Zmywam się, skoro nie możesz już na mnie patrzeć. Przykro mi, jeśli pobyt na rancho trochę cię rozczarował. Napisz do mnie z Frisco, okay?

Rozdział 11

- Paniusiu, paniusiu, niech mi paniusia powie, gdzie samotny kowboj może zawiesić swój worek na obrok?

Jenny, która właśnie wychodziła z windy, odwróciła się gwałtownie.

- Chuck! - spojrzała prosto w brązowe roześmiane oczy. - Co cię przywiodło do San Francisco?

- Interesy, dziewczynko, interesy. Pójdziemy coś przekąsić?

- Z przyjemnością. - Jenny odsunęła się o krok od przyjaciela. - Ależ się zmieniłeś! Fiu! Fiu! Nie widziałam cię sześć tygodni, a wydaje mi się, jakby to było sześć lat. Przeobraziłeś się w rasowego biznesmena.

- Jestem teraz w pięćdziesięciu procentach udziałowcem w naszym rancho. Steve i ja prowadzimy ten interes wspólnie. Każdy z nas ma takie same prawo podejmowania decyzji.

- Och, Chuck, jak się cieszę, że wreszcie uregulowaliście tę sprawę. Widocznie obaj zmądrzeźliście. A jak Helena?

- Dobrze, dziękuję. Na wiosnę chcemy się pobrać.

- To cudownie, bardzo się cieszę.

- Chodźmy teraz coś zjeść. Umieram wprost z głodu.

- A kiedy ty nie jesteś głodny? - roześmiała się Jenny. - Ale, Chuck, ja chyba nie jestem odpowiednio ubrana.

Przez wielką salę recepcyjną budynku, w którym Jenny nadal pilnie pracowała jako sekretarka, wyszli na dwór.

- Nie szkodzi. I tak miałem zamiar zaprosić cię do mojego hotelu.. Zamówię jedzenie do pokoju i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Okay?

- Ciotka Ada zawsze mi powtarzała, żebym za żadne skarby nie dała się zaciągnąć do hotelu, ale ponieważ powiedziałeś, że aię żenisz, będę chyba bezpieczna - zażartowała Jenny.

Chuck zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

- Do hotelu „Fairmont” - rzucił taksówkarzowi.

- Bardzo zeszczuplałaś, dziewczynko - zwrócił się do Jenny. - Dlaczego się nie odezwałaś?

Jenny spuściła głowę. Jak miała mu wytłumaczyć, że chciała jak najszybciej zapomnieć o Stevenie? Brała przecież mnóstwo dodatkowych prac, żeby tylko nie myśleć o nim, żeby nie mieć ani sekundy na niepotrzebne rozważania.

- Nie miałam czasu, Chuck - odparła, co częściowo było zgodne z prawdą. - Mój szef zorientował się najwyraźniej, z jaką wartościową siłą ma do

czynienia, i awansował mnie na swoją osobistą sekretarkę. I w dodatku przeniosłam się dwa tygodnie temu do własnego mieszkania. No, widzę, że teraz ja zrobiłam na tobie wrażenie, Chuck!

- Jesteśmy na miejscu, proszę państwa. - Taksówka zahamowała z piskiem opon przed wejściem do hotelu.

Drzwi otworzył im portier w czarnej liberii ze złotym szamerunkiem. W holu, urządzone według mody wiktoriańskiej, kręcili się elegancko ubrani ludzie. Jenny poczuła się nie na miejscu.

- Chodź, dziewczynko - Chuck poprowadził ją do okratowanej windy.

Wjechali na piętnaste piętro i korytarzem, wysłanym grubym dywanem, poszli do pokoju Chucka.

- Proszę, wejdz, księżniczko, w moje skromne progi - ryknął na cały głos. Nerwowo manipulował kluczem w zamku i dobrą chwilę musieli poczekać, zanim wreszcie otworzył drzwi.

Był jakiś dziwnie zdenerwowany i ta nerwowość udzieliła się Jenny natychmiast.

Pokój był wspaniały, komfortowy i wyposażony we wszystkie konieczne udogodnienia.

Jenny podeszła do okna. Z tej wysokości roztaczał się przepiękny widok na miasto.

- Warto było tu przyjść, choćby dla samego widoku - powiedziała zachwycona.

- Tak, tak - zbył jej uwagę Chuck. - Powiedz, co mam dla ciebie zamówić.

- A ty weźmiesz na pewno stek?

- Oczywiście.

- Ja poproszę o pierś kurczaka z sałata.

- ... i butelkę czerwonego wina, najlepiej francuskiego - przekazał Chuck zamówienie przez telefon.

- Mówisz więc, że masz nowe mieszkanie i nową posadę. A jak tam życie towarzyskie, co? Zawarłaś jakieś nowe znajomości? - Chuck rozluźnił krawat.

Jenny patrzyła na niego zmieszana. Zachowywał się co najmniej dziwnie, a ona nie umiała sobie tego wytłumaczyć.

- Pójdę do łazienki odświeżyć się trochę - powiedziała.

- Nie! - Chuck zerwał się na równe nogi. - To znaczy, wyglądasz wspaniale i nie musisz się odświeżać.

Kelner zapukał do drzwi.

- Czy życzą sobie państwo, żebym został i podawał potrawy?

- Nie, nie, dziękuję już panu.

Chuck napełnił rubinowoczerwonym płynem dwa kieliszki na długich nóżkach.

- Za twoje zdrowie, Jenny.

- Za ciebie i Helenę.

Chuck wypił zawartość swego kieliszka niemal duszkiem.

- Jenny... - zaczął niepewnie - czy myślisz jeszcze o Stevenie? Wahala się z odpowiedzią. - Dlaczego mnie o to pytasz, Chuck?

- Ponieważ on cię kocha.

- Kocha mnie? Nie mogę powiedzieć, żeby dał mi to odczuć. Gdyby mnie kochał, sam by mi to powiedział.

- Okay, Chuck, dziękuję ci.

- Steve? - Jenny odwróciła się gwałtownie. - Co to za przedstawienie?

- Proszę cię, Jenny... wysłuchaj mnie. Kocham cię i pragnę, żebyś została moją żoną. Kiedy odjechałaś, zdałem sobie sprawę, że nie będę już umiał żyć bez ciebie, bez twojego słodkiego uśmiechu, twych jasnych włosów i błękitnych oczu, bez atmosfery spokoju i zaufania, którą umiałaś mi stworzyć.

Steve przerwał na chwilę, po czym mówił dalej.

- Wiem, zawiniłem wobec ciebie ciężko, bardzo ciężko. .Wiem, co musiałaś przeżywać. Wybacz mi, Jenny, wybacz, moja najdroższa. Odplaciłaś mi tą samą monetą, kiedy zaczęliście z Chuckiem udawać, że coś was łączy. Boże, jakie męki cierpiałem! Zazdrość zawsze idzie w parze z miłością, a ty wzbudziłaś ją we mnie.

Jenny milczała.

- Stoję przed tobą pełen pokory, smutny i pełen winy. Proszę cię, Jenny, moja najśodsza dziewczynko, nie odrzucaj mej miłości!

- Dlaczego tak długo zwlekałeś?

- Bałem się, że nie będziesz chciała mnie wysłuchać. Dlatego nakłoniłem Chucka do tego podstępu. Błagam cię, Jenny...

Gorące łzy spłynęły po policzkach Jenny. A jednak intuicja jej nie myliła. Steve ją kochał.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam... - wyciągnęła do niego obie ręce. - Steve, pokochałam cię od razu, gdy tylko cię ujrzałam. Przeczuwałam, że chropowata powłoka kryje prawe serce. Nie pomyliłam się..

Steve przytulił do siebie tę, którą uczynił kobietą i którą kochał nad życie.

- Ale... - Jenny zawiesiła głos. - Zanim za ciebie wyjdę, musisz mi coś obiecać.

- Wszystko, co tylko chcesz, skarbie.

- Nie porównuj mnie nigdy z Ewą ani z żadną inną kobietą. Ja to ja, Jenny Vandeen i nikt inny.

- Jutro będziesz już panią Felton! - oświadczył Steve.

- Po co ten pośpiech?

- Nie mogę dopuścić, żebyś się rozmyśliła.

- Kocham cię, Steve - zarzuciła mu ręce na szyję. - I chcę jak najszybciej zostać panią Felton.

RS